CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 25 Lipca 1937 R. NR. 29-30

Po zamachu

Kiedy piszemy te słowa, brak jeszcze pewnych i określonych danych, dotyczących sprawcy zamachu na osobę płk. Adama Koca i środowiska, w którym się myśl zamachu zrodziła i rozwinęła.

Nie mniej jednak trudno się oprzeć jednemu wrażeniu i to niezależnemu od sprawy środowiska, z którego zamach wyszedł jako realna dezycja i plan realny.

Jeśli zamach ten pochodzi ze środowiska polskiego, to w jego charakterze i przebiegu są pewne elementy, które nie pozwalają na traktowanie go jako zjawiska oderwanego, jako nonsensu wylęgłego w głowie niepoczytalnej jednostki i stąd mającego znaczenie ograniczone i jednostkowe.

Zbyt częste w latach ostatnich są tego rodzaju nonsensy, by można je było traktować w oderwaniu od podłoża, na którym powstają, żyją i rozwijają się. Wszystkie te nonsensy mają jeden zewnętrzny cel i jeden charakter: anarchizowanie życia polskiego.

Formy tego anarchizowania są różne — atmosfera, w której rodzą się, przeważnie ta sama.

Nie będziemy tutaj wyliczali wszystkich tego rodzaju nonsensów. Nie będziemy przede wszystkim sięgali daleko wstecz. Nonsensem był niewątpliwie myślenicki napad Doboszyńskiego, nonsensem były warszawskie strzały do pierwszomajowych pochodów, nonsensem było popychanie mas chłopskich w zachodnich powiatach Kongresówki i niektórych powiatach Wielkopolski do walki z polską administracją, polską policją, polską władzą państwową. To wszystko były nonsensy. Lecz poza maską nonsensu wszędzie był jeden cel, cel, w którego osiąganiu brali nieraz udział ludzie najlepszej woli i wiary, szczerego patriotyzmu, a który mimo to, nie może być określony dość silnie, bo nie ma w języku polskim „hańby słowa", które oddałoby całą szkodliwość akcji systematycznego przeszczepiania na grunt naszej teraźniejszości jednego z najgroźniejszych przejawów naszej historii: anarchii.

Pisaliśmy w poprzednim numerze, że orzeczenie przysięgłych w sprawie Doboszyńskiego, to triumf polityczny oskarżonego, lecz że jest to równocześnie triumf ducha i metod działania Samuela Zborowskiego.

Jeśli okaże się, że zamach ostatni zrodził się na podłożu podobnym, jak zamach myślenicki, to ojcami duchowymi tego zamachu będą, między innymi, krakowscy sędziowie przysięgli. Piszemy to bez złośliwości, bez myśli podawania w wątpliwość dobrej woli i patriotyzmu gremium, które dało się przekonać, że napad na polskie władze państwowe może być przejawem myśli patriotycznej. Nie mniej jednak związek tych faktów nie jest bynajmniej daleki i oderwany. Kto daje polityczną aprobatę na Myślenice, na wypadki pierwszomajowe w Warszawie, na wypadki łobżenickie w Poznańskim, na ruchawki chłopskie w zachodnich powiatach Kongresówki, na anarchiczne wyładowania w postaci pogromów żydowskich, ten nie może uwolnić się od odpowiedzialności również i za zamach ostatni, chociażby najbardziej wymownie dowodził, że zamach ten z jego punktu widzenia był tylko nonsensem politycznym i nie mógł reprezentowanemu przez niego ruchowi przynieść najmniejszych nawet korzyści politycznych.

Kto sieje wiatr, ten musi ponosić odpowiedzialność za wszystkie skutki swego posiewu, nawet i za te, które w mniejszym czy większym stopniu wykraczają poza ramy planowej woli siewcy.

Polska ma, czy też może mieć, wielu nieprzyjaciół zewnętrznych. Polska ma dwa główne niebezpieczeństwa wewnętrzne, które w przeszłości zadecydowały o jej upadku i które dzisiaj zmartwychwstają jako skutek systematycznego i planowego posiewu. Niebezpieczeństwa te, to ciasnota pojęć i anarchia działań. Otóż zbyt wiele jest w Polsce czynników, które swą akcję polityczną prowadzą właśnie poprzez staranne pielęgnowanie obu tych negatywnych elementów naszego życia zbiorowego.

Nikt bodajże w Polsce nie chce planowo dążyć w kierunku wojny domowej. Wojna domowa w naszych warunkach byłaby wielkim błędem, mogłaby zakończyć się skutkami o charakterze tragicznym. Lecz trzeba sobie powiedzieć jasno. Mniej groźna w skutkach może być otwarta walka, silne wyładowanie, niżeli to, czego świadkami jesteśmy niemal przez cały czas naszej odzyskanej niepodległości, od niepoczytalnego i niepoważnego zamachu z dnia 5 stycznia r. 1919 po niepoważny i niepoczytalny zamach z dnia 18 lipca r. b. — anarchizowanie podstaw naszego życia przez wystąpienia zbrodnicze, których okolicznością łagodzącą ma być w następstwie właśnie ich bezcelowość polityczna, właśnie głupota założeń i dążeń.

Ta głupota założeń i dążeń, ta rzekoma bezcelowość polityczna w zbrodniach przeciwko ludziom i przeciwko Państwu, musi być traktowana tak, jak na to zasługuje: jako okoliczność obciążająca, obciążająca zarówno w stosunku do bezpośredniego sprawcy, czy sprawców, jak przede wszystkim w stosunku do środowisk, z których płyną posiewy trucizny.

Józef Ujejski

„Cel tej książki jest bardzo skromny. Nie stać mnie na „monografię naukową" o Konradzie Korzeniowskim. Nie mam na to dość czasu, ani dość gruntownej znajomości języka i literatury angielskiej. Nie kusiłem się też o pokazanie wielkości Conrada w sposób impresjonistycznie sugestywny. Do tego znów brak mi odpowiedniego talentu. Sam będąc pod wrażeniem tej wielkości, przyjąłem ją w pracy swojej jako aksjomat i tym tylko co ją czuję jak ja i bez cudzej „interwencji", zapragnąłem poprostu dać o nim trochę informacji, to i owo w jego twórczości uprzytomnić, to i owo przypomnieć. Ułatwić im przeżycie go i przemyślenie w całości, nie tyle jako smakoszom literackim, co jako ludziom. To właściwie wszystko".

Tych kilka zdań, rozpoczynających przedmowę do książki Józefa Ujejskiego „O Konradzie Korzeniowskim", przytoczyliśmy na wstępie nie ze względu na ich treść bezpośrednią, lecz dlatego, że pozwalają one na zbliżenie się do bardzo istotnych i głębokich cech życia i pracy naukowej zmarłego przed kilkunastu dniami wielkiego Uczonego i szczególnej szlachetności Człowieka.

W ten sposób rozpoczyna się książka o bardzo głębokiej wartości, o wielkim wkładzie pracy, książka, w której wnikliwość umiejącego odczuwać rozumnego Człowieka została zespolona ściśle z gruntownym przygotowaniem świadomego metod i środków artystycznego wyrazu krytyka, wreszcie z wielką sumiennością uczonego, który przede wszystkim i ponad wszystko poczuwa się „do obowiązku dokładności w tym, co pisze".

W prostocie i codzienności tych zdań, w ich pewnej niezręczności i pozbawieniu wszystkiego, co by mogło być literaturą, jest coś więcej, niżeli tylko uprzedzająca ewentualne krytyki i zarzuty skromność uczonego. W zdaniach tych jest przede wszystkim szczere zawstydzenie człowieka, który żywi głęboki niepokój, czy w swojej pracy zdołał wydobyć dość sugestywnie istotne cechy wielkości badanego pisarza, która jest mu szczególnie bliska, którą odczuwa głęboko, o którą troszczy się więcej, niżeli o własne dzieło. Stąd też to ograniczenie, że książka zwrócona jest tylko do tych, którzy skłonni są wielkość Conrada odczuć bez cudzej „interwencji", odczuć nie tyle „jako smakosze literatury, co jako ludzie".

Cechą szczególnie wyróżniającą Józefa Ujejskiego, jako badacza i pisarza, jako profesora literatury, a więc z natury rzeczy pośrednika pomiędzy dziełem literackim a gronem uczniów, była przede wszystkim niezmiernie silnie rozwinięta drażliwość, aby swoją postawą, swoim pośrednictwem krytycznym, w niczym, w najmniejszym nawet stopniu, nie przesłonić istoty badanego zjawiska literackiego, a równocześnie nie pomniejszyć bez potrzeby samodzielności ustosunkowania się ucznia do tego zjawiska.

Mieliśmy niewątpliwie wśród profesorów literatury takich, którzy wielkością i wagą dorobku naukowego i krytycznego poważnie przewyższali Józefa Ujejskiego, mieliśmy wykładowców o większej plastyce obrazu, większej sugestywności słowa, może o większej erudycji. W jednej dziedzinie Józef Ujejski był nieporównany. Był to człowiek, o którym można powiedzieć bez przesady, że odznaczał się rozpalonym do białości poczuciem etyki naukowej. Trawestując Norwida możnaby powiedzieć, że był to człowiek, który by zawsze wołał prawdę na swym stawić grobie, niżby sam miał się wesprzeć na jej grobowcu.

Kto wie, czy w tym niezmiernie drażliwym stosunku do prawdy naukowej, połączonym z głębokim stosunkiem uczuciowym do badanych zjawisk literackich, nie leży przyczyna stosunkowej szczupłości książkowego dorobku naukowego Ujejskiego. Dorobek ten zawiera szereg pozycji nieprzeciętnej i nieprzymijającej wartości. Nie jest on jednak istotnym odbiciem tej wielkiej roli, jaką Józef Ujejski odgrywał jako profesor literatury polskiej na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego. Był to jeden z tych profesorów, którzy rolę swą wypełniają nie przez to, że są skarbnicą wiedzy formalnej i faktycznej, lecz przez to, że umieją patrzeć i uczą patrzeć w głąb badanych dzieł, czy w głąb badanych zjawisk. Ta strona umysłowości Ujejskiego tylko częściowy wyraz znalazła w jego dziełach wydanych.

Cechą Józefa Ujejskiego jako człowieka były mniej więcej te same elementy, które składały się na jego sylwetę jako naukowca i pisarza. Niezmiernie wysokie poczucie etyczne, jako wykładnik sposobu myśli i działania, różnostronność i pogłębienie zainteresowań społecznych, patriotyzm rozumny i szlachetny.

Dotknięty w latach ostatnich tragiczną śmiercią lotniczą jedynego syna, Andrzeja Ujejskiego, nie załamał się, nie zmniejszył zakresu prac i zainteresowań, przeciwnie, w roku ostatnim stanął do szczególnie ciężkiego i niewdzięcznego dla siebie warsztatu pracy urzędniczej, na stanowisku podsekretarza stanu w Min. W. R. i O. P.

Na tym stanowisku, mimo wielu i poważnych przykrości, trwał do końca, do chwili śmierci. Hołd jednak, jaki w dobie pogrzebu składało mu społeczeństwo, nie był hołdem składanym dostojnikowi państwowemu, przedstawicielowi wysokiego urzędu. Był to hołd składany wysokiej miary uczonemu, przede wszystkim zaś Człowiekowi, który miał prawo powiedzieć o sobie, że nikt, kto szlachetny, i nic, co szlachetne, nie było mu w życiu obojętne.

I stąd może, z tej głębokiej troski o solidarność ze wszystkim, co szlachetne, płynęło to głębokie umiłowanie twórczości Conrada, któremu dał wyraz w ostatniej książce, przyznając się: *„aż przyszedł na mnie taki czas, że — poza lekturą związaną ściśle z moimi obowiązkami — czytałem t y l k o Conrada. Czytałem go po polsku i po angielsku, książkę za książką, raz i drugi, niektóre rzeczy i trzeci".*

Cóż znalazł ten człowiek, tak głęboko z twórczością ludzką różnych epok i krajów zżyty, w twórczości niespokojnego żeglarza, który przez całe życie nie potrafił dokonać ostatecznego wyboru pomiędzy trzema ojczyznami — Polską, Anglią i Oceanem — co go tak silnie pociągnęło i zespoliło z tą twórczością.

Józef Ujejski w paru miejscach próbuje odpowiedzieć na to pytanie. Bodajże najistotniejsza odpowiedź zawarta jest na ostatnich kartach wspomnianej wyżej książki w słowach:

„Nieukojona melancholia"... „To była cena, którą musiał płacić za swój geniusz". „I to jest cena, którą musi płacić niejeden wrażliwy czytelnik za szczęście czytania jego dzieł. Ale ten rodzaj melancholii — który z nich płynie w duszę — w skutku ostatecznym nie stanie się nigdy „kamieniem ludzi topiących się". Raczej może się stać „skrzydłami ludzi wysokich".

W stosunku Józefa Ujejskiego do twórczości Conrada, w stosunku Józefa Ujejskiego do całego bogatego skarbca literatury, której służbie życie swe poświęcił, to bodaj było najszczerszą, najistotniejszą prawdą: *tęsknota do „skrzydeł ludzi wysokich".*

Andrzej Moykowski

Młodzież

Słowo młodzież już od dłuższego czasu jest na ustach wszystkich. Znaczenie zagadnienia, które w sobie streszcza, zostało ostatnio podkreślone przez obecność Marszałka Śmigłego - Rydza na różnych zebraniach i zjazdach młodzieży. Przed kilku tygodniami Obóz Zjednoczenia Narodowego podjął, jak dotąd bliżej nieokreśloną, próbę powołania jakiejś wszechobejmującej organizacji młodzieży pod nazwą Związku Młodzieży Polskiej.

Zagadnienie jest, istotnie, ponad wszelką wątpliwość wielkie i doniosłe. Lecz i to nie ulega wątpliwości, że musi być wreszcie postawione we właściwy sposób. Bowiem dotychczasowa płaszczyzna rozważań tego tematu z reguły zwężała, a wskutek tego przesłaniała, zarówno istotę jak i właściwe rozmiary całego zagadnienia. Krótko mówiąc, sprowadzała je głównie do troski o taki czy inny „kapliczkowy", partyjno-polityczny narybek. W ten sposób podchodzili do zagadnienia ludzie rządzący Polską przez szereg lat, gdy, używając najfatalniejszych metod, powoływali do życia „Legion Młodych". Metody były fatalne, za pokarm ideowo-wychowawczy służyły frazesy. A gdy wychowankowie zaczęli sami myśleć, mniejsza zresztą o to jak, lecz w każdym razie inaczej od wychowawców, ci ostatni wyrzekli się ich jak najśpieszniej. Podobnie zakończyła się ofensywa polityczna endecji, mobilizującej równie wyłącznie „dla siebie" szeregi młodzieży. Znowu chodziło o posłuszny narybek partyjny. Partia starała się wszystko naginać dla swych celów, szafując znowu frazesem opozycyjnym, głównie antymasońskim lub antyżydowskim, oraz odgrzebując stare porachunki z Piłsudskim i piłsudczykami. Rezultat był taki, że młodzież, która początkowo tak licznie zapełniała jej szeregi, zaczęła się z czasem buntować przeciwko partyjnym menerom. I nie było chyba w ostatnim kilkoleciu ruchu politycznego w Polsce, który by nie przeszedł jednej czy kilku frond młodzieżowych.

W zjawisku tym nie można dopatrywać się tylko zwykłego, naturalnego ścierania się „młodych" i „starych". Ma ono głębsze podłoże. Jest to generalny, samorzutny, jak gdyby instynktowny odwrót młodych generacji od starych, porosłych już trawą zapomnienia ścieżek, na które chcieli je wprowadzić osiwiali w bojach politycznych menerzy minionej epoki. Odwrót ten jest tym potężniejszy, że znakomita większość młodzieży stroni w ogóle od wszelkich robót o charakterze partyjno - politycznym. Kierunek zainteresowań współczesnej młodzieży polskiej uległ zasadniczym zmianom.

W szybkim tempie, choć wolniejszym niż w innych państwach, odrodzonych po wojnie, zmienia się struktura socjalna narodu. Szkoła powszechna zaczyna docierać wszędzie. Podnosi się widocznie, z roku na rok, przeciętna poziomu intelektualnego i duchowego społeczeństwa. Kultura staje się udziałem coraz szerszych mas. W procesie tym biorą udział wszystkie warstwy z coraz, oczywiście, wyraźniejszą przewagą warstw chłopskich i robotniczych. W warstwach tych troska o byt materialny jest niemal z reguły troską codzienną. Kto z nich wychodzi, ten nie może zapomnieć palących zagadnień dnia codziennego, które otaczały go od dzieciństwa. Dlatego to młode generacje polskie, wchodzące dziś w życie narodu, wnoszą prócz potężniejących i upowszechniających się wśród nich z roku na rok walorów duchowych i intelektualnych, silnie zarysowany pierwiastek troski materialnej o własny byt.

Zalęknieni tym zjawiskiem przedstawiciele „gasnących światów" określają je w sposób powierzchowny mianem społecznej „radykalizacji". Tymczasem nie jest to żadna radykalizacja, a już zwłaszcza nie radykalizacja doktrynalna. Słaby rozwój ruchu komunistycznego i socjalistycznego na wsi i w miastach potwierdza to najwymowniej. Ta rzekoma radykalizacja jest tylko prostą konsekwencją stałych, automatycznych procesów wszechstronnego podciągania się w zwyż milionowych mas narodu. Wciąż, niestety za powolny rozwój naszych sieci komunikacyjnych, dróg, środków, lokomocji, ułatwia przecież, mimo wszystko, proces zbliżenia wsi z ośrodkami miejskimi, wzmaga powszechną skalę potrzeb, zarówno materialnych, jak duchowych. Otwiera oczy, przywykłe do oglądania bardzo ograniczonego pola widzenia. W odrodzonym państwie coraz więcej jego obywateli pragnie mieć pracę, pracę nie niewolników, lecz taką, która zapewniłaby im przynajmniej minimum potrzeb materialnych i duchowych. I domaga się tego coraz wyraźniej przede wszystkim młodzież. Na tym polega owa rzekoma radykalizacja.

Takie podejście do rzeczywistości polskiej wspólne jest wszystkim generacjom młodzieży polskiej, poczynając od chłopca, który kończy zawodową szkołę rzemieślniczą, czy niższą szkołę rolniczą, a kończąc na doktorancie uniwersytetu lub młodym inżynierze. Dla wszystkich tych ludzi Polska istnieje, nie trzeba jej zdobywać, jak myśmy ją zdobywali. Ideałem ich jest, aby ta istniejąca Polska była jak najsilniejsza wewnętrznie, dobrze administrowana, dobrze zagospodarowana, społecznie sprawiedliwa oraz jak najbardziej narodowo — zwarta. „Ojczyznę miłując samych siebie miłują". To nie jest materializm. To, przeciwnie, w warunkach bytu niepodległego, tylko zasadnicza zmiana oblicza narodowo - państwowego idealizmu Polaków. Upodobnił się on do idealizmu Niemców, Francuzów, Włochów. Współczesny młody Polak, stając w porcie gdyńskim, myśli mimowoli o koloniach. Ideał polityczny oparty jest na realnych przesłankach. Mistyka, mesjanizm, romantyzm, nie są potrzebne do szukania ideałów narodowych. Gdy marzy na gdyńskim molo o polskiej ekspansji kolonialnej, to mu chodzą po głowie cyfry, myśl o zagadnieniu populacyjnym, o imporcie i eksporcie, o rozbudowie naszej floty handlowej, o wzmocnieniu naszej floty wojennej.

Młodzi Polacy myślą raczej generalnymi, ogólno narodowymi kategoriami myślenia. Ich „klasowość", choć często nawet używają tej terminologii, staje się coraz częściej raczej wyrazem dumy z przynależności do warstwy, która zdolna jest wzbogacić naród jeszcze niewyzyskanymi wartościami. W gruncie rzeczy reagują najsilniej na sprawy wiążące, rodzime, a nie dzielące i z zewnątrz narzucane. Taką jest młodzież chłopska. Młodzież robotnicza równie spragniona jest ruchu narodowego, pozbawionego zabarwienia partyjnego, a równocześnie dającego jej możność walczenia o realizację jej postulatów społecznych. Podobnie gdy młoda inteligencja polska reaguje żywo na hasła jednoczące, narodowe, to nie znaczy, by hasła te były, czy musiały być reakcyjne. Wszyscy ci młodzi gotowi są do poświęceń dla dobra całości pod warunkiem, że całością tą kieruje planowa i twórcza wola, przeniknięta planową troską o istnienie i wszechstronny rozwój narodu i państwa. To też kiedy Marszałek Śmigły - Rydz zjawił się na komerszu „Arkonii" witały go tam entuzjastyczne okrzyki młodych. Kiedy stojąc na trybunie, przyjmował defiladę tysięcy młodzieży wiejskiej na polu mokotowskim, entuzjazm młodych kolumn, tak przecież niepodobnych do korporanckich, był równie szczery i bezpośredni. I gdyby Marszałek udał się na każde inne zgromadzenie młodzieży, tak samo byłby przyjęty. Bowiem symbolizuje dla nich właśnie tę bezstronną, niezabarwioną koterią czy interesem partyjnym troskę o całość, której na imię: armia.

Zmienili się twórcy historii narodu. Już przyszli i są niepodobni do tych, którzy ją tworzyli przed wojną, po wojnie i jeszcze w pierwszym dziesięcioleciu istnienia państwa polskiego. Do nowych pokoleń nie można przemawiać językiem przedwojennej frazeologii politycznej, nie można zdobywać ich dla wąskich celów partyjnych. Trzeba znaleźć nowy język, wolny od doktrynerstwa, lecz równocześnie nie będący językiem dnia wczorajszego. Przede wszystkim zaś nie można popełniać błędów ani przez przyciemnianie radykalizmu młodzieży, ani tym bardziej przez łudzenie się, że właściwym sposobem walki z tym radykalizmem może być reakcja.

Prof. Leopold Caro (Lwów)

Teoria narodowego socjalizmu

Niemiecki uczony, prof. Wilhelm *Glungler* wysunął się obecnie na czoło autorów, piszących o filozofii prawa i prawie państwowym. Moja książka niemiecka p.t. *Kapitalismus und Solidarismus*, wydana w marcu b. r., a dowodząca między innymi, że ekonomika nie jest nauką ani przyrodniczą, ani przyczynową, ale nauką *celową* i *historyczną*, zwróciła jego uwagę i skłoniła go do nawiązania ze mną korespondencji. Temu stosunkowi zawdzięczam zapoznanie się z jego pracami, a w szczególności z rozprawą „*Entwicklung und Gestaltung der Prinzipien des Rechts— und Wirtschaftspolitik*" (Rozwój a twórczość jako zasady polityki prawa i gospodarstwa) oraz z dziełem w kwietniu b. r. wydanym p.t. „*Vorlesung über Volk und Staat*" (Odczyty o narodzie i państwie). Są to rzeczy znakomite i podstawowe i tworzą teoretvczne podstawy narodowego socjalizmu. Poniżej przedstawiamy główne założenia autora.

Zasada istnienia jako myśl przewodnia polityki urodziła światopogląd konserwatywny, zasada stawania, rozwoju, światopogląd, liberalny. Pierwszą reprezentuje filozof Fryd. Jul. Stahl, drugą Wilh. Fryd. Hegel. Drugą autor porównuje z sową Minerwy, wylatującą dopiero o zmierzchu. Trzecią jest zasada czynu, politycznego działania. Gdy pierwsza ogranicza się do obrony pewnego stanu, a druga zmierza do wolności z niczym nie usprawiedliwioną wiarą, że w ten sposób zmierza się ku dobru, trzecia stanowi pragmatyczną syntezę między myślą a rozwojem. Nie idzie w niej tylko o utrzymanie rzeczywistości czy o rozwój możliwości — ponadto sięga ona do kształtowania tego, co konieczne, a w tym mieści się i owa rzeczywistość i owa możliwość. Zasada rozwoju wypływa z wiary w ewolucję, w łączność historyczną i stopniowość zjawisk, z których każde następne jest wynikiem poprzedniego. Zasada kształtowania tego, co raz uznano za konieczne, zrywa z historycznością i ewolucją — buduje przyszłość w gospodarstwie i w polityce bez względu na to, czy i co kiedyś gdzieś miało miejsce.

Zasada rozwoju dobra jest i płodna, jeśli ktoś ogranicza się do badania samego faktu rozwoju w dziedzinie prawa i gospodarstwa. Ale nie wystarcza, a nawet o niczym nie objaśnia wówczas, gdy gospodarstwo czy polityka wytknęła sobie przede wszystkim pewien uznany za dobry i godny osiągnięcia cel.

W polityce prawa i gospodarstwa istotnym jest w świecie kultury fakt tworzenia. Jest to przeniesienie punktu ciężkości ze spraw ogólnych na szczegółowe, z zewnętrznego przebiegu wydarzeń na wewnętrzny ich związek, z pozornego prawa przymusu do wolności działania. Zwolennicy zasady rozwoju ignorują znaczenie „klasycznego" prawa natury jako rzekomo wiecznego i ogólnie obowiązującego; stoją na stanowisku historii, jednorazowości „romantyzmu lub pozytywizmu"; nie pytają o zasadę twórczego czynu. Na przebieg dziejów nie mają rozstrzygającego wpływu ani same idee, ani sam materializm historyczny. Przeciwnie — czyny ludzkie, tworzące historię oddziaływują zarówno na idee jak i na stosunki gospodarcze.

Ponad ideologią konserwatywną, której celem jest porządek, oraz ponad ideologią organiczno-liberalną, której celem jest wolność, unosi się ideologia pragmatyczna, której celem jest osiągnięcie wolności przez porządek i porządku przez wolność. Jej treścią jest tworzenie, czyn, jej drogą wola.

Każde zajęcie stanowiska wobec spraw publicznych jest polityką; **właściwe** zajęcie się nimi jest polityką w znaczeniu ściślejszym. Autor ma tu na myśli nie sztukę przeprowadzenia w życiu rzeczy możliwych, ale sztukę **uczynienia możliwymi rzeczy koniecznych**. Poza tym polityką nazywa naukę tak badawczą, jak i opisową, wartościującą wypadki przeszłości i wyprowadzającą stąd wnioski na przyszłość oraz naukę o strategii, taktyce i technice politycznej w chwili obecnej.

Celem polityki nie jest ani władza i prawo, ani porządek i wolność, ale utrzymanie narodu i popieranie dobra publicznego w drodze twórczego kształtowania przyszłości. Nie państwo jest tedy celem samo dla siebie, ale celem jest naród złączony w państwie jako formie organizacji dla dokonania jednolitego czynu. Nie ma państwa poza narodem. Naród działa jako państwo i jako takie występuje na zewnątrz. Myślą przewodnią państwa jest konieczność. Ona łączy statykę i dynamikę teorii państwowej. Już Fichte uznał państwo prawne jedynie za środek w służbie narodu. Państwo jest organizmem w znaczeniu socjologiczno - politycznym jednostki działającej, a więc organicznego złączenia dla jednolitego światopoglądu, złączonej woli i wspólnego działania. Istotę państwa stanowi wspólna krew, wspólna ziemia, wspólne prawo i los. Naród i przestrzeń, kierownictwo i czas stanowią o jego jedności i totalności.

Treścią państwa jest praca. Jednolitość działania osiąga się przy pomocy organizacji. Polega ona na stosunku wodza do jego drużyny. Ze stanowiska pojęcia bytu państwo to związek, dokonany przez organizację władczą osiedlonego narodu; ze stanowiska pojęcia prawa to podmiot porządku prawnego, który wywodzi się od państwa oraz podmiot praw i obowiązków, nałożonych państwu, porządek prawny. Wedle *Esmeina* państwo to uosobienie prawne narodu; ze stanowiska pojęcia tego, co być powinno, państwo to urządzenie celowe, służące wedle *Adolfa Menzla* do tworzenia siły kolektywnej narodu i rozporządzania nią w razie potrzeby.

Jeśli istotną treścią jest praca, to pracę tę wykonuje cały naród. W tym celu łączy się on w państwie, tworząc jednostkę działania. Praca występuje na zewnątrz jako działanie, jej skutek jako dzieło. Rezultat owej pracy to miernik w polityce. To państwo jest najlepsze, które zdziała najwięcej.

Tu nasuwa się pytanie o **celu** państwa: nie o celu państwa w historii ludzkości, ani też o celu, ważnym dla wszystkich narodów i czasów; odpowiedź bowiem na pierwsze pytanie należy do filozofii historii, na drugie nie jest w ogóle możliwa, bo takiego wspólnego celu, ważnego dla wszystkich narodów i czasów, zdaniem autora, być nie może. Pozostaje pytanie, dotyczące konkretnego zadania państwa **w pewnym** czasie i dla **pewnego** narodu.

Czy państwo może wytknąć sobie jako cel panowanie prawa? Wszechwładza państwa w państwie policyjnym i w merkantyliźmie wywołała reakcję liberalizmu ograniczającego państwo do funkcji „nocnego stróża". Liberalizmowi szło przede wszystkim o prawa wolnościowe jednostki, o zakaz analogii w prawie karnym, o degradację sędziego do roli automatu dla stosowania ustaw, oraz o niezależność wymiaru sprawiedliwości, zapominającą nawet o wypadkach konieczności odmiennego działania, tudzież o zgodność wszelkich zarządzeń administracji z wydanymi ustawami. Szło zarazem o to, aby państwo jak najmniej występowało na zewnątrz. Według autora **prawdziwe** państwo prawne polega na pierwszeństwie państwa

przed jednostką, interesu publicznego przed interesem indywidualnym, na prawie życia narodu wobec zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół. Państwo atoli nie może służyć wyłącznie celom prawnym, równocześnie służyć winno sprawiedliwości i koniecznościom życiowym narodu. I tutaj szereg tez, rzucających charakterystyczne światło na sposób rozumowania teoretyków narodowego socjalizmu w odniesieniu do zagadnienia prawa i jego roli w państwie. A więc sędzia nie powinien stosować ustaw wydanych p r z e d rewolucją narodowo-socjalistyczną, o ile by ich stosowanie sprzeciwiało się zdrowemu poczuciu narodowemu, z drugiej zaś strony związany jest zarządzeniami „Wodza", wydanymi w duchu wspólnoty narodowej. Administracja związana jest nie tylko ustawą, ale i prawem, które autor określa jako to, co dla państwa i dla narodu zorganizowanego w państwie jest k o n i e c z n e. Podobnie wyraził się minister Hans Frank: „Wszystko, co przynosi pożytek narodowi, jest prawem: wszystko co mu szkodzi, bezprawiem".

Poza prawem istnieje dalszy cel państwa: jego potęga. Daje ona możność działania. Miernikiem tej potęgi jest czyn dokonany. Jedynym zadaniem potęgi państwa ma być utrzymanie i uszlachetnienie narodu własnego obok uznania prawa do życia narodów innych. Imperializm poświęcający dobro i krew narodu li tylko dla powiększenia potęgi państwa, autor odrzuca. Osiągnięcie potęgi panstwa wskazane jest tylko w granicach konieczności egzystencji narodu niemieckiego, otoczonego uzbrojonymi mocarstwami. Hitler w rozmowie z redaktorką *Paris Soir* zaznaczył, że Niemcy w ostatniej wojnie straciły 2 miliony elity patriotycznej i 7½ miliona rannych. Czy warto w tych warunkach prowadzić wojnę, aby zyskać ludność o tej samej liczbie, ale mieszaną i nie czującą po niemiecku?

Trzecim celem państwa jest szerzenie kultury, a więc pielęgnowanie nauki, sztuki, wychowania i techniki. Czwartym, najważniejszym jest cel przyrodniczy, który osiąga się przez utrzymanie i podnoszenie narodu na wyższy, poziom w drodze rozwijania odziedziczonych przezeń zdolności tj. przez zastosowanie zasad higieny rasowej.

Prawo przymusu, przysługujące władzy państwowej, uzasadnia autor bądź wiarą w nakaz religii (konstytucja austriacka z r. 1934 w ten sposób opiera się na encyklice *Quadragesimo Anno)*, bądź faktem współżycia ludzi w państwie, bądź obawą przed napaścią z zewnątrz lub przed „wojną wszystkich przeciw wszystkim" (Hobbes), bądź umową (Rousseau), bądź prawem moralnym (Plato, Aristoteles), bądź wreszcie czy to *ex post* dokonanym dziełem, czy też umożliwieniem lub popieraniem świadczeń i działań dokonanych przez członków wspólnoty (stanowisko pragmatyczno-energetyczne narodowego socjalizmu).

Państwo jest nie tylko skupieniem woli narodu w celu dokonania dzieła, ponadto stwarza ono podstawę porządku i wodzostwa w narodzie w formie ustaw, kładących nacisk na potrzeby państwa czy narodu w przeciwstawieniu do potrzeb indywidualnych, tudzież osób interesowanych. Jedynym źródłem prawa jest sumienie narodu. Prawem jest to, co dla narodu jest konieczne. O konieczności orzeka „zdrowy sąd narodu". Sumienie upomina i sądzi. Prawo obowiązuje na podstawie rzeczywistego zachowania się narodu i tylko tak długo, jak długo naród wierzy w jego moc obowiązującą i zgodnie z tą wiarą postępuje. Ustawy wyrastają w prawdziwym państwie z życia narodu, którego dotyczą. Wedle Goebbelsa ustawodawstwo winno „nie wymyślać ustaw, ale je odczytywać z życia". Zasadę tę ogranicza okoliczność, że odnosi się ona tylko do pewnych konkretnych „wodzów" i do pewnej konkretnej „drużyny". Nie ma tu więc norm ogólnie obowiązujących bez względu na czas i naród.

Ale stosunki życiowe ulegają ciągłym zmianom, co i autor sam zaznacza. Wobec tego zdaniem moim zachodzi nieustanna obawa, by „sumienie jako rzekomo jedyne źródło prawa" dyktowało c o r a z n o w e ustawy, co znów kwestionowałoby stałość wszelkich norm prawnych. A ponadto, czy „sumienie" wszystkich ludzi, nawet złączonych rasą, językiem i ziemią, reaguje zawsze t a k s a m o na dane zjawisko zewnętrzne, czy wszyscy ludzie uważają to samo zarządzenie z a k o n i e c z n e? Sumienie, czerpiące pewne prawdy z dziedziny wiary, ma w niej miernik niewątpliwy tam tylko, gdzie istnieje pytanie, czy dana czynność jest dobrą lub złą. Ale tu właśnie osąd sumienia nie będzie czasowy i konkretny — przeciwnie, będzie stały i wieczny. W dziedzinach natomiast ze stanowiska moralnego obojętnych poglądy różnych jednostek na dany problem — błędnie określone jako sąd sumienia — nie tylko mogą, ale zazwyczaj będą różne. W końcu przypominam argument encykliki papieskiej z 14 marca b. r. Zasada, jakoby prawem było to, co narodowi przynosi korzyść, znaczyłaby w stosunkach między państwami nieustanny stan wojny, a w życiu wewnętrznym narodów pomijałaby prawa, nadane przez Boga k a ż d e j j e d n o s t c e, których naruszyć żadnej wspólnocie, a więc i państwu bez uszczerbku dla niego samego nie wolno.

W miejsce dawnych przeciwieństw: monarchia i republika wyłoniły się nowe: demokracja i faszyzm. Pierwsza kładzie nacisk na w o l n o ś ć w formie parlamentaryzmu, drugi na p o r z ą d e k w formie utrzymującej go dyktatury.

Sztuka rządzenia państwem to twórcze kształtowanie rzeczywistości za wskazaniem pewnej idei. Potrzeba na to znajomości ludzi, umiejętności obchodzenia się z nimi, wiary w pewną ideę, stanowczej woli urzeczywistnienia jej w czynie, oraz poświęcenia osobistego w służbie dla narodu. Punkt wyjścia polityki może być statyczny (konserwatywny), dynamiczny (liberalizm i marksizm) i pragmatyczny (narodowy socjalizm). W pierwszym wypadku idzie przede wszystkim o utrzymanie porządku, w drugim o wolność lub przymus, w trzecim o czyn i walkę pod rozkazem wodza przy zachowaniu porządku jako środka do celu. Celem polityki może być bądź korzyść czy to osobista np. despoty, czy też korzyść pewnej grupy np. dynastii, bądź korzyść publiczna czy to „największe szczęście największej liczby jednostek" (stanowisko indywidualistyczne), czy też korzyść całego narodu. W ostatnim wypadku polityka, wedle wyrażenia kanclerza Hitlera, „czuwa nad interesem życiowym narodu i wszelkimi środkami skierowuje ku niemu walkę życiową". Ale ten interes życiowy nie jest bynajmniej identyczny z polityką oportunistyczną na krótką metę, w rzeczach zasadniczych nie zawiera kompromisów. Idzie w nim o podniesienie narodu na wyższy poziom z punktu widzenia wieczności. Konieczność w tym znaczeniu to bądź doskonalenie narodu, bądź odwracanie od niego grożącego mu niebezpieczeństwa.

Najważniejszym jest czyn. Przeszłość poucza. Ale nie należy sądzić, jakoby wiecznie powtarzało się to samo w dziejach, ani też jakoby nad losem ludzkim ciężyło jakieś nieuniknione fatum. Ogromne postępy współczesnej techniki (radio, telewizja) rozszerzają widnokrąg, j a k n i g d y p r z e d t e m. Świat zmalał. Łatwiej go więc ogarnąć.

Cała książka napisana z wielką ścisłością prawniczą, jasno i zwięźle, wyposażona w liczne przykłady z współczesnego życia politycznego szeregu państw dowodzi wielkiego oczytania autora i daje doskonały pogląd na zapatrywania elity obozu narodowo-socjalistycznego, do której autor należy.

Na szczególne podkreślenie i uwagę zasługują właśnie ustępy dotyczące stosunku polityki do moralności, w których autor uzasadnia nawet możliwość zerwania umowy i wojny „koniecznością życiową" narodu. Pojęcie konieczności może być tłumaczone rozmaicie. Jeśliby szło o kwestię życia i śmierci narodu, to obrona konieczna jest zrozumiała. Ale jeśli idzie o chęć wyżywienia i ekspansję narodu oraz o usprawiedliwienie wojny zdobywczej przeciw innemu narodowi, choćby kulturalnie niżej stojącemu, ale który również ma prawo egzystencji? Czy i to nazwie autor „koniecznością"? Uznaje autor wprawdzie prawo do życia i innych narodów. Ale tu w rozumowaniu jest luka, która w szczególności musi zastanawiać narody pozostające z Niemcami w stosunku terytorialnego sąsiedztwa.

Feliks Królikowski

Punkt Archimedesa problemu polsko-ukraińskiego

Półtora roku temu, w pierwszym numerze naszego pisma pisaliśmy, że treścią stosunków polsko - ukraińskich „nie może i nie powinna być ugoda polsko-ukraińska; ugoda bowiem jest stosunkiem dwóch stron, a państwo wszak nie może być stroną w stosunku do tej czy innej grupy obywateli, bo — jak słusznie głosi nasza konstytucja — państwo jest „wspólnym dobrem wszystkich obywateli". Treścią natomiast tego stosunku powinno być: ze strony Ukraińców — pozytywny stosunek do państwa polskiego jako takiego, bez żadnej reservatio mentalis; ze strony rządu zaś jako dzierżyciela władzy państwowej, właściwa polityka narodowościowa, respektująca rzeczywiste potrzeby obywateli Ukraińców".

Zwracaliśmy przy tym uwagę na rolę społeczeństwa polskiego na ziemiach narodowościowo mieszanych, polsko - ukraińskich.

Do powyższych słów — po półtorarocznym okresie t. zw. normalizacji stosunków polsko - ukraińskich — nie potrzebujemy dodać ani ująć nawet przecinka. Przeciwnie, okres ten, okres nowych doświadczeń, utwierdza nas w przekonaniu, że wychodziliśmy ze słusznych założeń. Zdajemy sobie bowiem wprawdzie sprawę, że warunki polityczne obecne różnią się od warunków, jakich byliśmy świadkami w końcu 1935 r. i na początku 1936 r., a mimo to z całym naciskiem podkreślamy, że właściwa polityka narodowościowa, respektująca rzeczywiste potrzeby obywateli Ukraińców, a mająca na oku coraz mocniejsze wiązanie pięciomilionowej ludności ukraińskiej z państwowością polską jest **bezwzględnym i niezmiennym nakazem naszej racji stanu.**

Powtarzamy: mimo, że obiektywne warunki polityczne się zmieniły. Stwierdzamy to z najgłębszą troską o przyszłość stosunków polsko-ukraińskich.

Faktem jest mianowicie z jednej strony, że pod wpływem iredentystycznych elementów ukraińskich (jak się zdaje Ouenowskich) na niektórych terenach ziemi czerwieńskiej od dziewięciu niemal miesięcy jesteśmy świadkami akcji terorystycznej, skierowanej przeciwko miejscowej ludności polskiej, która ma słuszne powody domagać się energicznie od państwa zastosowania wszelkich środków (mamy na myśli oczywiście tylko legalne) niezbędnych dla przywrócenia stanu bezpieczeństwa; z drugiej zaś strony konstatujemy fakt, że wśród kierowniczych kół ukraińskich, które stanęły na gruncie polityki „normalizacyjnej", budzić się ostatnio zaczęły refleksje na temat własnego stanowiska. Świadczą o tym uchwalone w dn. 3 lipca r. b. uchwały krajowej narady U. N. D. O., złożonej z przedstawicieli organizacji partyjnych kraju, członków C. K. i Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej. Uchwały te, jako nader znamienne dla nastrojów, panujących wśród wspomnianych powyżej kół ukraińskich, przytaczamy in extenso:

UCHWAŁY KRAJOWEJ NARADY UNDO

„1. W okresie od 1935 r. po dzień dzisiejszy ukraińska reprezentacja polityczna wraz z większością społeczeństwa ukraińskiego stoi na stanowisku uregulowania stosunków polsko - ukraińskich celem zabezpieczenia obu narodom na etnograficznych ziemiach ukraińskich w Polsce, w warunkach całkowitej praworządności, swobodnego rozwoju kulturalnego i gospodarczego oraz stworzenia jak najpomyślniejszych warunków pokojowej pracy. Warunkiem wytworzenia takiego stanu rzeczy miało być m. in. zaspokojenie narazie minimalnych postulatów ukraińskich, wysuniętych wobec rządu, w kierunku zmiany uciążliwego regime'u administracyjnego wobec obywateli ukraińskich i ich organizacji, zaspokojenia słusznych żądań ludności ukraińskiej w dziedzinie szkolnictwa; poparcie ukraińskich aspiracji w dziedzinie nauki, działalności kulturalno - oświatowej, opieki społecznej i kultury fizycznej; uznanie dla pożytecznej pracy ukraińskich instytucji gospodarczych i sprawiedliwa dystrybucja pomiędzy nimi kredytów państwowych; wstrzymanie kolonizacji za pomocą elementu pozamiejscowego gruntów wielkiej własności rolnej, przeznaczonej do parcelacji, natomiast sprawiedliwa parcelacja tych gruntów pomiędzy miejscową ludność małorolną i bezrolną, bez względu na jej wyznanie i narodowość; wstrzymanie sztucznego popierania moskwofilstwa, zwłaszcza na Łemkowszczyźnie; unifikacja polityki narodowościowej wobec całej ludności ukraińskiej, jako jednolitej organizacji, całości pod względem nie tylko politycznym, lecz i prawnym; uporządkowanie spraw językowych i narodowej nomenklatury ukraińskiej; dopuszczenie Ukraińców odpowiednio do ich liczby, w charakterze współgospodarzy i równowartościowych obywateli do wszystkich organów samorządu, rewizja dotychczasowych wyborów samorządowych i wreszcie — równe traktowanie wszystkich kandydatów narodowości ukraińskiej na stanowiska państwowo-publiczne i sądownicze".

„2. Mimo najlepszej woli ukraińskiej reprezentacji politycznej oraz większości społeczeństwa ukraińskiego wytrwanie na swych pozycjach pracy nad normalizacją stosunków, mimo doniosłych faktów o daleko idącym znaczeniu politycznym, dokonanych przez naszą partię i reprezentację parlamentarną w celu utrwalenia takiej polityki i uwidocznienia swych jak najszlachetniejszych motywów i zamiarów na terenie zarówno krajowym, jak i parlamentarnym — z wymienionych wyżej ukraińskich postulatów minimalnych wykonano tak niewiele, że nie pozostaje to w żadnym stosunku do potrzeb ukraińskiego życia narodowego. Mianowicie: na odcinku szkolnictwa powszechnego nie przywrócono ukraińskiego języka nauczania ani w jednej szkole utrakwistycznej lub spolonizowanej; w dziedzinie szkolnictwa średniego nie przywrócono nawet jedynego na Podolu gimnazjum państwowego z ukraińskim językiem wykładowym, rozwiązanego podczas pacyfikacji z roku 1930; w dziedzinie szkolnictwa wyższego utworzono co prawda jedną katedrę literatury ukraińskiej na uniwersytecie lwowskim, lecz dotąd jej nie obsadzono; przy przyjmowaniu sił nauczycielskich do szkół powszechnych kandydatom narodowości ukraińskiej przyznano nieproporcjonalnie mały odsetek w stosunku do liczebności ludności ukraińskiej i nowoutworzonych etatów; w stosunku do ukraińskich instytucji naukowych, kulturalno-oświatowych i humanitarnych kompetentne czynniki nie ujawniły należytego zrozumienia i nie przyczyniły się w poważniejszy sposób do poparcia ich pracy; na odcinku gospodarczym, poza drobnymi kredytami przyznanymi instytucjom finansowym, czynniki finansowe nie ujawniły należytego i rzeczowego obiektywizmu w zaspakajaniu potrzeb ukraińskich organizacji gospodarczych. Gdy się zaś przeanalizuje sytuację spółdzielczości oraz organizacji kulturalno-oświatowych i sportowych w terenie, to administracja państwowa w ostatnim roku nie rzadko posługiwała się wobec nich środkami administracyjnymi, by w ten sposób hamować ich działalność. O jednolitej polityce narodowościowej wobec całego narodu ukraińskiego w Polsce — nie ma mowy. Każde województwo i każde nawet starostwo prowadzi ją w inny sposób. Poza tym istnieje zasadniczo inna polityka w stosunku do Ukraińców na Wołyniu, inna zaś na terenach Galicji Wschodniej? a jeszcze inna — na Łemkowszczyźnie, gdzie się forytuje moskwofilstwo, a stawia przeszkody i prześladuje ukraińską pracę organiczną. Sprawy językowe pod kątem widzenia zabezpieczenia praw języka ukraińskiego, zagwarantowanych konstytucją i poszczególnymi ustawami, są nieuporządkowane. Tak samo nie została załatwiona sprawa narodowej nomenklatury ukraińskiej. Parcelację przeprowadza się w celach kolonizacyjnych. Chłopom ukraińskim, którzy chcą nabyć ziemię z parcelacji, udziela się rady przechodzenia na obrządek rzymsko-katolicki i zmiany narodowości, z reguły zaś do parcelacji się nie dopuszcza. Na odcinku wysiłków konsolidacyjnych narodu ukraińskiego prowadzą różne czynniki polskie robotę rozkładową, jak np. dążą do unarodowienia szlachty ukraińskiej pod względem kultury, pochodzenia i religii. Sprawę instytutu „Narodny Dom", olbrzymiej fundacji kulturalnej narodu ukraińskiego, załatwiono w ten sposób, że gospodarzem instytucji został przedstawiciel B.G.K. narodowości polskiej, a członkowie t. zw. Wydziału Narodowego Domu mają w sprawach sanacji stosunku i gospodarki głos zaledwie doradczy. Na odcinku samorządowym nie zmieniło się w ciągu ostatnich dwu lat — nic, przeciwnie, sytuacja uległa pogorszeniu, co ujawnia się m. in. w zwalnianiu i tak minimalnej liczby Urakińców ze służby w organach samorządowych. Bardzo mało posunęła się naprzód sprawa przyjmowania Ukraińców do urzędów państwowych, a w sądownictwie uległa nawet pogorszeniu".

„3. Wszystkie przytoczone fakty przyczyniają się do tego, że w społeczeństwie ukraińskim rośnie rozczarowanie do polityki normalizacji i pogłębia się brak zaufania do dobrych intencji i zamiarów odpowiedzialnych czynników państwowych, co do naprawy stosunków polsko - ukraińskich. Taki stan nastrojów społeczeństwa ukraińskiego jest usprawiedliwiony i ze względu na to, że społeczeństwo polskie w Galicji Wschodniej w olbrzymiej swej większości, poniekąd nawet z udziałem miejscowych czynników rządowych i wojskowych odnosi się zupełnie negatywnie do samej idei normalizacji, co się uwidoczniło w różnych uchwałach zebrań i zjazdów na terenie Galicji Wschodniej, na których społeczeństwo polskie mobilizuje swe siły z niedwuznacznym zamiarem i pod hasłem przekreślenia normalizacji i poprowadzenia wobec ludności ukraińskiej polityki ucisku i zwalczania wszelkich zmagań narodowotwórczych.

„4. W takich warunkach łatwo się może wy-

tworzyć wśród ludności psychologiczne podłoże, podatne dla roboty rozkładowej wszelkich obcych agentur i mogą w mało wyrobionych lub nieuświadomionych środowiskach zrodzić pożałowania godne akty rozpaczy i reakcji na smutną rzeczywistość. Krajowa narada UNDO, zaniepokojona i strwożona wiadomościami z kraju o fakcie niepokoju na terenie niektórych miejscowości, który znalazł wyraz w aktach sabotażu, podpaleń, a nawet zabójstw, jak najkategoryczniej potępia wszystkie te akty i ich winowajców.

„5. Wychodząc z niezłomnego przekonania, że wszystkie akty sabotażów na ukraińskich ziemiach są wymierzone w pierwszym rzędzie przeciwko najżywotniejszym interesom narodu ukraińskiego, krajowa narada UNDO uważa, iż obowiązkiem wszystkich świadomych ukraińskich czynników narodowych jest czynne przeciwstawienie się zarówno rozkładowej robocie wszelkich wrogich nam czynników, jak tym bardziej — wszelkim aktom sabotażu i gwałtów.

„6. Jednocześnie narada stanowczo protestuje przeciwko stosowaniu zasady odpowiedzialności zbiorowej do ludności ukraińskiej za nieodpowiedzialne czyny jednostek.

„7. W imię wspólnego dobra, w imię spokoju i pokojowej pracy na wszystkich etnograficznych ziemiach ukraińskich w Polsce Krajowa Narada UNDO wzywa odpowiedzialne polskie czynniki państwowe do zaspokojenia wysuniętych przez Urakińską Reprezentację Parlamentarną minimalnych postulatów narodu ukraińskiego, a Ukr. Reprezentację Parlamentarną do nieustającej walki o realizację ukraińskich postulatów narodowych w Polsce.

„8. Krajowa Narada UNDO uważa, że lekceważenie minimalnych nawet postulatów przez polskie czynniki państwowe i wrogi stosunek większości społeczeństwa polskiego do ukraińskich zmagań narodowych w obecnych, niezwykle trudnych i skomplikowanych warunkach wewnętrznych i międzynarodowych może być źródłem wielkiego zła i szkody nie tylko dla obu narodów, lecz i dla Państwa Polskiego, a przy niepotrzebnym naprężeniu i zaostrzeniu stosunków polsko-ukraińskich może wyjść na korzyść jedynie komuś trzeciemu.

„9. Krajowa Narada UNDO stwierdza, że tylko wszechstronna rozbudowa naszej własnej silnej organizacji narodowej we wszystkich dziedzinach życia społecznego stworzy warunki dla skutecznej legalnej walki o pełnię naszych praw w Państwie Polskim. Dlatego krajowa narada UNDO wzywa zarówno centralę partii, jak i wszystkie powiatowe narodowe komitety UNDO w całym kraju do jak najintensywniejszego wzmożenia swej partyjnej pracy organizacyjnej, gdyż tylko wspólna polityczna organizacja społeczeństwa stwarza podłoże dla zdrowego rozwoju naszego życia narodowego we wszystkich jego dziedzinach".

Nie chcemy wchodzić w meritum tych uchwał. Nie jest celem naszej notatki polemizować z niektórymi zawartymi w nich twierdzeniami, ani potwierdzać ich słuszności. Przytoczyliśmy tylko jako signum temporis. I to wystarczyć powinno dla stwierdzenia, że wbrew agitacyjnym podszeptom niektórych partyjnych organów prasowych polityka rządu ani na jotę nie może zbaczać z drogi, którą określiliśmy jako właściwą politykę narodowościową. Byliśmy zdecydowanymi przeciwnikami polityki „ugody" właśnie dlatego, aby móc konsekwentnie stać na stanowisku, że rząd musi prowadzić politykę na naszym południowym wschodzie nie w sensie spełnienia koncesji politycznych, lecz z punktu widzenia trzeźwo ocenianej racji stanu: niezależnie od tego, czy to się komukolwiek podoba, czy też nie. Właściwa polityka państwowa wobec ludności ukraińskiej musi być realizowana, bo tego wymaga interes państwa.

Tak, jak jednocześnie ten sam interes państwa wymaga, ażeby szereg palących i uzasadnionych potrzeb społeczeństwa polskiego ziemi czerwieńskiej był jak najszybciej i w najszerszej mierze zaspokojony.

Mieczysław Milbrandt

Faszyzm a wolność

Indywidualizm pogrzebano. W przyczynach jego raczej letargu niż zgonu należy szukać źródeł powodzenia faszyzmu.

Jest już dzisiaj truizmem, że wyrok na jednostkę podpisała przede wszystkim wojna światowa; jej bezwzględna supremacja nad indywiduum pozostawiła na długie lata atmosferę bezsiły jednostki.

Warunki ekonomiczne potwierdziły wyrok. Przyniosły one bezradność człowieka pozostawionego sobie. Stąd konieczność ucieczki w ścisłe formy organizacji, która ochrania i daje możliwość egzystencji. Życie stało się cenniejsze niż wolność; trzeba było zatem wolność poświęcić. Człowiek cofnął się jako jednostka i wystąpił jako członek silnej organizacji; tracił swobodę, ale uzyskiwał względną pewność ekonomicznego stanu.

Kryzys gospodarczy dezorientował jednostkę. Był jednak tylko jednym z momentów w chaotycznym obrazie życia. Olbrzymi rozwój i skomplikowanie zjawisk życia społecznego, ciągłe oczekiwanie zmian — przerażało człowieka. Życie wydawało się niemożliwe do ujęcia w rozumowym obrazie; sprawiało wrażenie czegoś groźnego i irracjonalnego. Wydawało się, że jedyną bronią przeciw niemu jest czyn, a nie myśl. Jednostka sama była za słaba do działania; organizacja dawała poczucie siły. I tutaj było jedno ze źródeł powodzenia faszyzmu.

Faszyzm gloryfikuje czyn. „Przekonałem się — mówi Mussolini — iż pierwszeństwo zawdzięcza się czynowi. Nawet wtedy, gdy jest błędny. Przeczenie, wieczna nieruchomość, jest przekleństwem. Jestem za ruchem, chcę iść naprzód".

Zdaniem Mussoliniego, tłum należy prowadzić na wodzy interesu i entuzjazmu. Mussolini świadomie operuje raczej siłą słowa niż argumentów.

Człowiek pozostawiony sobie bał się rzeczywistości; czując związek z gromadą odzyskał odwagę. Ale faszyzm, dając swoim zwolennikom poczucie siły, oparł się jednak na miernej ocenie jednostki. Zamknął ją w sieć nakazów i zakazów, nie pozostawił żadnej dziedziny jej własnemu sądowi, ingerował we wszystkie kręgi życia. Powstawała sytuacja paradoksalna: człowiek jako człowiek organizacji był silny, pozostawiony sobie, był słabszy niż poprzednio.

Ci, którzy stali się faszystami, godzili się na deprecjację jednostki. Czy zgodzą się na to następcy? Zdaniem Mussoliniego Włochy nie zniosłyby drugiego Mussoliniego.

Faszyzm nie jest trwałym sposobem organizowania życia zbiorowego. Zachwieje się, gdy znikną przyczyny, które zadecydowały o jego powodzeniu. Kiedy próby racjonalnego ujęcia zjawisk życia socjalnego dadzą jednostce zarówno podstawy ekonomiczne jak i wolność, wtedy sugestia przykładu przełamie wpływ wychowawców faszystowskich. Człowiek bowiem nie wyrzeknie się wolności.

Wychowanie faszystowskie nie stworzy świadomych zwolenników. Może ono jedynie narzucić doktrynę, stworzyć człowieka-automat, który operuje sztywnym schematem odpowiedzi na wszystkie zagadnienia. Ale faszyzm nie stanie się światopoglądem wychowanków. Pogląd na życie bowiem nie może być czymś narzuconym; jest aktem twórczym jednostki, określającym jej stosunek do współludzi i tworzącym pojęciowy obraz świata.

Faszyzm nie może być trwałą postawą wobec życia dla człowieka pełnego. Odbiera on człowiekowi ten niewielki zakres wolności, który jest potrzebny dla stworzenia własnej koncepcji życia. Życie jednostki związane jest nierozerwalnie z życiem społeczeństwa, ale w chwili refleksji jest ona sama. Ta samotność tworzy własny styl życiowy człowieka; dzięki niej jednostka uświadamia sobie swój stosunek do współczłowieka.

Psychoanaliza Stekla zrehabilitowała człowieka; wykazała, że świadomość kulturalna panuje nad popędami nieświadomymi. Można zatem mówić o człowieku jako twórcy społecznie dodatniej koncepcji życia. Musi mu być jednak pozostawiony pewien zakres swobody.

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

J. Grabowski

O reformę prawa spadkowego

Obowiązujący do dziś dnia w całej Kongresówce art. 745 Kodeksu Napoleona mówi:

— *„Dzieci albo ich zstępni biorą spadek po ojcu i matce, dziadach, babkach i innych wstępnych bez różnicy płci albo pierworództwa i nawet bez względu na pochodzenie z różnych małżeństw... — biorą spadek w równych częściach...".*

W ojczyźnie tego kodeksu, od dawna już wskazują na to, że wyludnienie wsi francuskiej, obok przyczyn moralnych i ekonomicznych, ma także swoje źródło w prawie cywilnym, w tym właśnie przepisie. Czy warto mieć wiele dzieci, aby marnować gospodarstwo, dzieląc je na równe części? Lepiej wszystko pozostawić jednemu.

U nas szkodliwe skutki tej zasady wyrażają się wskutek innych warunków ekonomicznych (brak wielkich ośrodków przemysłowych) i moralnych (większa prostota obyczajów) inaczej, ale również szkodliwie. Owocem jej jest potworna szachownica pól na wsi i wzrastająca ciągle liczba gospodarstw karłowatych.

Jakby mało było zła wyrządzonego przez ten przepis, ustawodawstwo Polski Odrodzonej uzupełniło go przepisami podatkowymi, nakładającymi niezwykle wysokie opłaty przy spadkobraniu, nawet z ojca na syna. Jeśli więc działy spadkowe nie zdołają zniszczyć same przez się wartości gospodarstwa, to reszty dopełnia skarb państwa. „Nie dłużej klasztora, niźli przeora", oto niezdrowa zasada, w myśl której gospodaruje się w Polsce, nie tylko zresztą na roli, ale i w miastach. I tu bowiem do rzadkości należą np. sklepy lub warsztaty, które przetrwały więcej niż jedno pokolenie.

Dawne prawo polskie zupełnie innymi kierowało się zasadami. Nie było ono wprawdzie skodyfikowane, ale zachowywano starannie obyczaje spadkowe, wypróbowane przez wieki. Dzieci po rodzicach wchodziły w posiadanie spadku bez żadnej intromisji (rozwiązania). Kobiety dziedziczyły ziemię początkowo tylko w braku braci, a później były ograniczone do $^1/_4$ wartości majątku, przy czym córki wyposażone traciły prawo do spadku. I bracia nie dzielili równo majątku. Najdawniejszym obyczajem, gdy jeszcze zaludnienie Polski było stosunkowo słabe, było kolejne wydzielanie synów od najstarszego począwszy, a najmłodszy pozostawał przy gnieździe ojcowskim. Zwyczaj ten przechowywał się bardzo długo, w postaci t. zw. minoratu, u chłopów nawet jeszcze w początkach zeszłego wieku. Uzasadnieniem było, że najmłodszy, niewydzielony, syn najdłużej pracował na ojcowiźnie.

Nie tylko w przeszłości naszej własnej, ale i we współczesnych obcych prawodawstwach widzimy starania o to, aby gospodarstwo pozostawało w całości przy jednym potomku, a rodzeństwo aby było spłacone. Najjaskrawiej przejawiają się te tendencje w prawie rolnym hitlerowskim, opartym na zagrodach dziedzicznych (Erbhöfe). Ale nie brak podobnych tendencji także w prawach szwajcarskich i norweskich, znało je nawet prawo przedwojennej Rosji. Na Wołyniu prawo zwyczajowe do dziedziczenia gospodarstwa dopuszcza nawet nie-członków rodziny, którzy pracowali w nim, wyłącza zaś tych członków rodziny, którzy wynieśli się z gruntu.

Skutki dzielenia gospodarstw są ujemne gospodarczo, bo niszczą warsztat pracy, ale także i społecznie, gdyż podkopują byt rodziny i jej ciągłość. Polska potrzebuje nowego zupełnie prawa spadkowego. Jakiego?

Spadkobranie ma z punktu widzenia społecznego jedną wielką zaletę i jedną wadę. Zaletą — jest ciągłość gospodarki, trwałość stosunków gospodarczych. Wadą — jest uprzywilejowanie potomków właścicieli, bez względu na ich zdolności do gospodarowania, co łączy się często z degeneracją gospodarki, gdy majątek przychodzi zbyt łatwo. Wada ta nie występuje jaskrawo przy gospodarstwach małych, gdzie zła gospodarka bardzo szybko prowadzi do wyzucia z własności, jest natomiast bardziej groźna przy gospodarstwach większych. Otóż prawo spadkowe tak powinno być ułożone, by jak najbardziej sprzyjało rozwojowi ciągłości i fachowości gospodarki, a zmniejszało jak najbardziej niebezpieczeństwo degeneracji gospodarki dziedzicznej i umożliwiało przekazywanie jej w najzdolniejsze ręce. Słowem, prawo spadkowe powinno zapewniać jak najbardziej rodzinny i trwały charakter własności, równocześnie wyraźnie nakładać na tę własność obowiązki, które nauka społeczna kościoła nazywa hipoteką społeczną.

Przede wszystkim więc prawo spadkowe musi ustalać zasadę, że warsztat pracy, a zwłaszcza gospodarstwo rolne, przechodzi na jednego tylko spadkobiercę, który spłaca pozostałych w prawnie określonej wysokości. W dzisiejszych warunkach bardzo zróżniczkowanego życia gospodarczego nie jest słuszne ustalenie z góry, że ma to być najstarszy lub najmłodszy syn. Słuszniejsze jest pozostawienie wyboru spadkodawcy, który kierował wychowaniem następców. W razie wątpliwości i sporu rozstrzygałby sąd.

Jednakże i ta decyzja nie załatwia jeszcze wszystkiego. Wyłania się zagadnienie celowej z punktu widzenia społecznego gospodarki spadkobiercy. Trzeba zatem postawić zasadę, że własność warsztatu pracy wymaga bezwzględnie przygotowania fachowego. W rolnictwie np. prawo nabycia gospodarstwa, zarówno drogą kupna jak i spadkowania, powinno przysługiwać wyłącznie rolnikom z pochodzenia i praktyki, lub z wykształcenia. W zamian za to spadek przechodzący na potomków, którzy pracowali w gospodarstwie, powinien być wolny od wszelkich opłat.

Mimo takich zmian w prawie może się jednak zdarzyć, że spadkobierca będzie gospodarował w sposób jaskrawo zły, szkodząc nie tylko sobie, ale i całemu społeczeństwu przez obniżanie kultury wytwórczości. W takich wypadkach prawo ingerencji powinno przysługiwać organizacjom zawodowym. Jest to możliwe oczywiście tylko przy jednolitej i wszechstronnej organizacji zawodowej całego społeczeństwa. Przy takiej organizacji grupie zawodowej mogłoby przysługiwać w wyjątkowych wypadkach prawo inicjatywy odebrania szczególnie źle gospodarującemu jego warsztatu i przekazania go dalszym następcom.

Nie jest natomiast w Polsce słuszne zastosowanie niemieckiego prawa rolnego. Aby ordynacje wielkochłopskie mogły istnieć, mamy na to zbyt mały zapas ziemi w stosunku do ogółu ludności rolniczej, tworzenie zaś ordynacji kilkohektarowych dałoby efekt zły, gdyż wobec niemożności obrotu ziemią i konieczności wykształcenia pozostałego rodzeństwa musiałoby prowadzić do gwałtownego ograniczania liczby urodzeń na wsi. Przeciwnie, dla uzdrowienia naszej przerośniętej karłowatymi gospodarstwami struktury rolnej, potrzebne jest ułatwienie obrotu ziemią między chłopami przez zniesienie wysokich opłat alienacyjnych i notarialnych. Aby zaś zasada dziedziczenia gruntu przez jednego spadkobiercę i spłacania innych nie stała się fikcją, niezbędne jest uruchomienie dogodnego kredytu długoterminowego przeznaczonego specjalnie na spłaty przy działach. Kredyt ten opłaci się Państwu wielokrotnie, gdyż nie tylko da uzdrowienie ustroju rolnego, ale i zapewni dopływ do miast licznych rzesz synów chłopskich, zaopatrzonych w pewien zasób gotówki i wykształcenia fachowego, a więc mogących istotnie dokonać dzieła rzeczywistego i trwałego spolszczenia naszego handlu, rzemiosła i przemysłu.

Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70

Józef Pabis

Zagadnienie oświaty robotniczej

Postulaty oświaty robotniczej jak i oświaty popularnej rodzą się z niezadowolenia ze stanu i z kierunku prac szkolnych, dążąc naprzeciw nowo-rodzącym się potrzebom. W następstwie tego stanu liczne organizacje robotnicze próbują na rozmaitych kursach dawać wyraz ideologii przodowników i bojowników, szukając odzewu wśród mas proletariackich o swoistych wymaganiach i odczuciach. Stąd rodzą się inicjatywy nie tylko odgórne z pośród wychowawców, lecz i od dołu z pośród klasy robotniczej, dążącej samodzielnie wzwyż. Ruch oświatowy wśród robotników zależy w pierwszym rzędzie od ruchów społecznych, od pojawiania się nowych sił i pożądań. Stąd zmienność ich form i rozmaitość treści obejmujących różne potrzeby klasy pracującej.

Celem oświaty popularnej (wśród robotników) jest umożliwienie masom robotniczym nauki w pewnych gałęziach wiedzy. Przez zorganizowaną oświatę popularną wśród Swiata Pracy musi powstać żywy związek osobowości poszczególnego robotnika z jego warunkami otoczenia, które wyrażają aktualne potrzeby całości danego środowiska. A więc wśród zasadniczych zadań, jakie stawiamy w organizowaniu oświaty i jej placówek robotniczych — to ukształtowanie świadomej klasowej osobowości, zdolnej w swojej wydajności dostosować się do świata, w którym żyje i do tych sił i wartości duchowych, które leżą poza światem przeżyć robotnika.

Pobudki, które klasie robotniczej każą organizować wszystkie szczeble i formy demokratycznej oświaty są: po pierwsze wśród mas robotniczych należy rozbudzić chęć zrozumienia otaczającego świata przez studiowanie problemów ekonomicznych współczesnego życia, dalej studia nad zgłębieniem wiedzy przyrodniczej, polityki społecznej, zagadnień związanych z pracą, ustrojem pracy, ubezpieczeniami społecznymi itp.; po drugie wychowanie proletariatu i oświata robotnicza jest kwestią społeczną zmierzającą do wychowania w poczuciu braterskiego koleżeństwa i silnej więzi zawodowej, w oparciu o ideologię organizacyjną; wreszcie trzecią pobudką kształcenia mas jest chęć podzielenia się uczonych przodowników oświaty z tłumem interesującym się tymi sprawami. Oświata więc robotnicza ma na celu nie przekształcenie człowieka w wydatne narzędzie produkcji, ale chodzi tu o danie minimum ustalonych wiadomości, potrzebnych do współżycia w demokratycznym społeczeństwie i o zagadnienie kształcenia robotnika w związku ze stanowiskiem społecznym, które on jako robotnik zajął.

Oświata robotnicza w Polsce wymaga innego podejścia aniżeli praca wychowawcza nad resztą społeczeństwa, ponieważ w uprzemysławiającym się państwie klasa robotnicza ma odrębne cechy psychiczne i światopoglądowe, jak wreszcie i inne środowisko, które ten światopogląd buduje i potęguje.

Stosunek dzisiejszego robotnika do otaczającego go świata, a zwłaszcza do przyrody, jest inny, niż stosunek ludzi ze wsi, pomimo, że często robotnik z tego środowiska pochodzi. Robotnik rolny żyje na łonie przyrody i z przyrodą, a jego życie społeczne jest zespolone z rytmem natury. Robotnik przemysłowy żyje na koszt przyrody i przez jej opanowanie. Stąd przyroda dla robotników zajętych w przemyśle górniczym, hutniczym, elektrotechnicznym, jest składem surowców, źródłem odziedziczonych sił itp. W ten sposób proletariat ze środowisk przemysłowych, opanowując siły przyrody, stracił z nią bliski, bezpośredni stosunek. Oczywiście zrozumiały jest kierunek nawrotu i zbliżenia wtórnego do natury przez sport, obozy, kolonie; widzimy, że dzisiejszy robotnik zwłaszcza przemysłowy, spotężniał jako producent przyrody, ale z drugiej strony zubożał, tracąc z nią kontakt bezpośredni.

W pracy oświatowej tego czynnika pominąć nie podobna. Kiedy teraz zwrócimy uwagę na stosunek robotnika do człowieka i jednego pokolenia do drugiego to widzimy, że w tej dziedzinie panują ciekawe stosunki. Każda jednostka uważa się za ogniwo między przeszłością i przyszłością. Rolnik posiada dziedziczną ziemię, rzemieślnik ma tradycje cechowe, a robotnik z branży przemysłowej, poza niektórymi krajami (Anglia, Szwecja) jest pierwszej lub drugiej generacji, która jeszcze tradycji nie posiada (a cóż dopiero polski robotnik). Ośrodki przemysłowe przyciągnęły wielkie masy ludności do siebie, ale wyrwały je z dawnych warunków, niszcząc stare tradycje. To każe w pracy oświatowej na terenie robotniczym borykać się z wielu trudnościami, a między innymi musi nastąpić to wyprostowanie i nawiązanie stosunku historycznego do dawnych okresów cywilizacji przy pomocy środków intelektualnych. Do tego dołącza się, w tego rodzaju pracy, nowa twórcza siła wśród zespołów robotniczych, mianowicie poczucie klasowe i związek grup zawodowych.

Położenie robotnika w Polsce już się nie zgadza z pojęciem proletariatu, co do niedawna odpowiadało rzeczywistości. Pragnienie posiadania zorganizowanego współudziału w procesie produkcyjnym jest dziś wśród robotników bardzo żywotne i nie jest już czymś do usunięcia. Istnieje dziś na terenie robotniczym wielkie ubóstwo kulturalne, ale masy są dziś mocno zradykalizowane i stawiają mocno swoje dezyderaty w sprawie likwidacji analfabetyzmu i udostępnienia wszystkich instytucji kulturalno - oświatowych od szkoły wiejskiej po uniwersytet włącznie dla ich synów i córek.

Organizując oświatę robotniczą w najszerszym tego słowa znaczeniu, dążymy do wyrobienia świadomości wśród mas, że nie przez negatywny stosunek do warunków społecznych w burżuazyjnym społeczeństwie wychowujemy młode pokolenie robotnicze, ale przede wszystkim przez propagandę i pogłębienie przekonania, że klasa robotnicza poznawszy dotychczasowy dorobek kultury burżuazyjnej — stworzy własną kulturę.

Oświatowy ruch robotniczy zmierza konsekwentnie do stworzenia własnych dróg i metod pracy, dostosowanych do sfery zainteresowań klasy robotniczej. Życie robotnika w organizacjach zawodowych daje mu niezawodnie bogaty kompleks doświadczenia społecznego — nie posiadając bowiem nauk humanistycznych, znajduje się w obliczu kwestii, które sam w codziennej pracy bada, poznaje na podstawie własnego doświadczenia. Stąd młody robotnik ma bogaty świat wyobraźni, nierozwinięty wprawdzie, ale pochodzący z życia i walki o chleb. Jasną więc jest rzeczą, że największym zainteresowaniem klasy robotniczej cieszyć się będą kwestie socjalne, ekonomiczne i polityczne, od których zależy obecna i przyszła pozycja robotnika w społeczeństwie. Niewątpliwie, że dziedziny kulturalne, jak literatura, sztuka, architektura zwłaszcza o charakterze społecznym — również będą obchodzić robotnika.

Oświata robotnicza, która chce tworzyć żywe wartości, musi zacząć ruch wśród samych robotników. Wtedy będzie miała własne specyficzne rysy ideowe, nie będzie oświatą planowaną według z góry upatrzonej doktryny, a będzie wypływem samych robotników. Zagadnienia aktualne będą dominować w programach pracy. Wychowawstwo i studia muszą być oparte na dobrowolnym udziale i na swobodnym wyborze kierunku, bowiem wolność tak ceniona przez robotników jest lepszym przewodnikiem niż oświecony despotyzm. Najbardziej żywotne kwestie związane z socjalnymi warunkami bytu zostaną wciągnięte w zakres pracy oświatowej. Robotnik szukający oświaty nie jest białą kartą, która mogłaby być dowolnie zapisywana. Nie zadawala się on cudzymi poglądami na pracę oświatową, jego pragnieniem jest zaspokoić swoje własne zainteresowania. Oświata robotnicza nie może być neutralna, musi ona (jeśli chce liczyć na powodzenie wśród mas robotniczych) przygotować świat pracy do walki o lepsze warunki pracy, o należne stanowisko dla całej klasy. Nieprawdą jest jakoby zainteresowania robotników skupionych w ruchu oświatowym nie wychodziły poza granice klasowe. Natomiast stwierdzić należy, że właśnie studiują np.: w zespołach i kółkach samokształceniowych to, co ich interesuje i zaciekawia.

Robotnicy stojąc na stanowisku, że t. zw. kultura burżuazyjna ma dla nich duże wartości, nie tylko jako członków pewnej klasy społecznej, ale jako ludzi, dochodzą do wniosku, że oświatowy ruch robotniczy musi iść szerokim torem w oparciu o bogactwo typów przodowników, ich myśli i szerokie zakresy programów pracy. Choć aktualne sprawy socjalne będą przodować w zdobywaniu wiedzy, to dopiero w tych warunkach klasa robotnicza, budując zręby własnej kultury, śmiało może brać udział w dziedzinie spraw ogólno-państwowych, wnosząc w nie ze sobą świadomość praw i obowiązków obywatelskich. Oświata robotnicza ma zwiększyć szeregi i zasoby sił, które mają być zużyte w walce o lepsze jutro. Rekrutowanie członków w ruchu oświatowym obejmo-

wać powinno tych, którzy pragną zająć czynną postawę wobec przejawów życia i tych problemów, które ich pociągają w pracy zawodowej i organizacyjnej.

Ruch oświatowy wśród klasy robotniczej jest akcją kulturalną, wyrastającą na gruncie dążenia do postępu cywilizacyjnego i wyższej formy bytowania w zmieniających się warunkach przemysłowych w państwie oraz do wyzwolenia się z zależności intelektualnej.

Widoczne stąd wnioski o potrzebie organizowania ruchu oświatowego wśród robotników wskazują, że robotnicy powinni domagać się własnego ruchu oświatowego, a nie pewnego zakresu wiedzy szkolnej, wreszcie, że dusza robotnicza w oparciu o inteligencję robotniczą zmierza do przetworzenia osobowości i przygotowania robotników do nowego ustroju i zasadniczych przemian socjalnych.

Roman Piotrowicz

Libijski eksperyment Italii (V.)

Imperialne i międzynarodowe znaczenie eksperymentu

Geopolityczna śródziemnomorska i afrykańska sytuacja Libii wysuwa ją niewątpliwie na jedną z głównych pozycji międzynarodowej polityki Italii, dotychczas szczelnie zamkniętej w basenie Śródziemnomorza, lecz czyniącej ostatnio poważne próby budowy imperium kolonialnego poza jego obrębem. Bezpośrednie sąsiedztwo zachodnich portów Libii z bazami morskimi Sycylii i wysp pomniejszych (jak Panteleria) ułatwia skoncentrowanie italskich sił morskich, a tym samym i zamknięcie szlaku śródziemnomorskiego w jednym z węższych jego przejść. Uniemożliwiając, lub przynajmniej utrudniając, połączenie wschodniego basenu śródziemnomorskiego z zachodem Europy, ta sycylijska zapora zmusza ponadto ewentualnego przeciwnika Italii do rozdrabniania jego sił morskich na dwa całkowicie odseparowane wojenne tereny operacyjne. Wysunięta daleko na wschód zatoka Tobruku, już w swych naturalnych warunkach zdolna do przyjęcia połowy italskiej floty wojennej, łącznie z bazami Dodekanezu, umożliwi tej flocie analogiczne operacje we wschodnim basenie tego morza. Rozległe terytoria Libii zbliżają metropolię do jej nowych posiadłości wschodnio-afrykańskich i pozwalają na przypuszczenie, że w wypadku wojennych utrudnień w użytkowaniu kanału Sueskiego umożliwią jej znimi połączenie, a za pośrednictwem italskich portów na oceanie Indyjskim także i z resztą świata.

Potencjalne strategiczne i polityczne możliwości Libii wymagają jednak dla ich praktycznego zrealizowania wielkiego jeszcze wysiłku, zmierzającego przede wszystkim do maksymalnego zapewnienia lojalności Libii dla metropolitalnych poczynań, oraz do możliwego zagospodarowania jej terytoriów, usamodzielniającego jej działania jako niezależnej bazy operacyjnej. Populacyjne i gospodarcze, a szczególnie surowcowe, potrzeby Italii, zmuszające ją do intensywnej kolonizacji Libii, tym bardziej ją do tego przynaglają przez wzgląd na jej śródziemnomorskie i afrykańskie, polityczne i strategiczne konieczności.

Zmierzając do ściślejszego związania interesów kolonii z metropolią, italska polityka kolonialna w Libii, usiłuje wzmóc zagęszczenie jej włoskich osiedli, oraz pozyskać sympatie jej tubylczych mieszkańców. Dla osiągnięcia tego, rozbudowując przede wszystkim stan zagospodarowania kolonii, potęguje się jej chłonność w stosunku do metropolitalnego elementu osadniczego, oraz ściślej wiąże się z metropolią zainteresowania całej jej ludności. Rozwijając dobroczynną działalność sanitarną i społeczną, oraz wychowując nowe pokolenia w założeniach określonej ideologii politycznej, zmierza się do zapewnienia większego stopnia lojalności jej mieszkańców. Zespolenie całości tych nowo wytwarzanych warunków dać może większe bezpieczeństwo ewentualnego wojennego materialnego i ludnościowego zaopatrywania operujących na terytoriach i wodach Libii morskich i lądowych jednostek wojennych. Tylko też koniecznością rozwiązania tych skomplikowanych populacyjnych i gospodarczych, strategicznych i politycznych, italo-libijskich zagadnień, tłumaczyć należy potężne zwiększenie finansowych dotacji na rozwinięcie libijskich poczynań kolonizacyjnych ,zarządzonych już po powrocie Mussoliniego z Libii.

Środkowa w całości arabsko-muzułmańskich dziedzin Śródziemnomorza pozycja, zajmowana przez Arabów Libii, dostatecznie ze swej strony inspiruje nastawienia tubylczej polityki Italii. Wcinając się klinem w brytyjskie i francuskie posiadłości w krajach arabskich, społeczność libijska, zorganizowana i ukształcona ideowo przez Reym i pełna sympatii dla niego, może stać się ośrodkiem atrakcji dla sąsiadów, oraz poważnie zaważyć na ich decyzjach w wypadku zatargu śródziemnomorskiego. Dla zbliżenia osiągnięcia tych prawdopodobnie celów, w ostatniej libijskiej podróży Mussoliniego towarzyszyły mu niewspółmiernie liczne reprezentacje dziennikarzy wszystkich śródziemnomorskich krajów arabskich, specjalnie wyróżniane i starannie zaopatrywane w bogate, wspaniałe i udokumentowane wydawnictwa, stwierdzające osiągnięcie Italii w jej opiekuńczej polityce muzułmańskiej. Antycypując niejako rezultaty tych italskich przewidywań, „kadi" Derny, witający wodza faszyzmu na ziemi libijskiej, zapewniał go, że czterysta milionów muzułmanów nigdy nie zapomni szczególnych względów, które on okazuje Islamowi i da uchwytny dowód swej wdzięczności.

Przychylne ustosunkowanie się tubylczej ludności Libii do międzynarodowych poczynań Italii, oraz sympatje zyskiwane w krajach sąsiednich, poważnie ułatwiające wojenne wyzyskanie strategicznych walorów Libii, oskrzydlającej najbardziej zagrożone śródziemnomorskie kolonialne pozycje Brytanii i Francji, już w okresie pokoju przynieść jej mogą ponadto nie mniejsze korzyści.

Zagospodarowanie bowiem Libii i rozbudowa jej dróg komunikacyjnych, a szczególnie budowa drogi, biegnącej wzdłuż całego wybrzeża, której otwarcia dokonał szef rządu, stworzyć może solidne podstawy dla najefektywniejszego bo gospodarczego zacieśnienia arabsko-włoskiej przyjaźni. Organ partii faszystowskiej, komentując libijskie poczynania Italii, wyraźnie to podkreśla, mówiąc że o ile: „zmniejszenie odległości równoznaczne jest ze zwiększeniem dobrobytu narodu, to Littoranea *), skracając odległości pomiędzy Tunisem i Egiptem, oraz łącząc Nil z Atlantykiem, znacznie zbliża między sobą Egipt, Libię, Tunis, Algerię i Marokko", a tym samym poważnie przyczynia się do podniesienia zamożności tych krajów.

Jeżeli długi szereg rozmaitych powodów przyczynia się do wzmożenia italskiego kolonizacyjnego wysiłku w Libii i nadaje mu pierwszoplanowe znaczenie w imperialnej polityce Italii, poszczególne fazy tego libijskiego eksperymentu kolonialnego, jak i jego końcowe wyniki, posiadają nie mniejsze walory światowe. Nabierają jednak one specjalnego znaczenia dla państw przeludnionych i poszukujących kolonialnego ujścia dla swej nadliczbowej ludności oraz źródeł surowcowych, umożliwiających zwiększenie uprzemysłowienia ich terytoriów, mającego stopniowo pochłonąć nieproduktywną dotychczas nadwyżkę ludnościową.

Libijskie doświadczenie Italii, usiłującej osadzić na roli kolonialnej rzesze metropolitalnych wychodźców i oprzeć całą ekonomikę kraju na ich osobistej pracy rolniczej, o ile wyda rezultaty pozytywne, pozwoli na ostateczne pogrzebanie legendy o niemożliwości masowego europejskiego osadnictwa w koloniach, tak szczególnie gorliwie szerzonej przez prasę mocarstw nie dysponujących potencjałem emigracyjnym, lecz równocześnie dzierżących w swych dłoniach gros terytoriów kolonialnych. Dodatnie wyniki tego doświadczenia umożliwią przeludnionej i cierpiącej na chroniczny kryzys Europie podjęcie prób racjonalnego zagospodarowania podległych jej jeszcze kolonii, jak i wzmożenie łączących ją z nimi więzów politycznych i gospodarczych.

Osiągnięte dotychczas wyniki, mimo bardzo krótkiego okresu trwania tego italskiego eksperymentu, a tym samym i szczątkowych tylko możliwości jego oceny, pozwalają jednak na optymistyczne w tej dziedzinie wnioskowania. Wnioskowań tych nie należy natomiast ograniczać do libijskich tylko terenów, bowiem ich wyjątkowo ciężkie warunki kolonizacyjne, upośledzające je pod tym względem w porównaniu do sąsiednich terenów Algerii, Tunisu i Maroka, bardziej je zbliżają do analogicznych stosunków w szeregu górskich i płaskowyżowych krajów tejże Afryki, otwierających, jak sądzą poważni badacze kolonialni, szersze możliwości osiedleńcze.

Kompletny prawie brak wszelkiego a szczególnie rolniczego elementu emigracyjnego u głównych kolonizacyjnych narodów Europy, całkowicie im uniemożliwiał dotychczas podjęcie takich prób. Stąd też stwierdzenie przez Italię wielkiej kolonialnej użyteczności rolniczej siły emigracyjnej, jedynie umożliwiającej początkowe zagospodarowanie kolonij, podniesie jej użytkowe walory także i u innych narodów Europy. Czyniąc natomiast te państwa pożądanym kontrahentem w konstruktywnym planowaniu nowej gospodarki kolonialnej i nadając udowodnionej już praktycznej wartości ich argumentacji, domagającej się terenów kolonialnych dla uzdrowienia ich społecznego i gospodarczego stanu, wydatnie również podniesie ich znaczenie w polityce międzynarodowej.

Kolonizacyjne działania Italii — rocznie w okresie przedwojennym wysyłającej po za swe granice ponad półmilionową masę emigrantów—zaludniając jej kolonie zwartą rzeszą europejskich kolo-

*) Nowozbudowana droga nadmorska, licząca 2.000 kmtr. długości.

nistów, pobudzą wysiłki metropolij sąsiednich kolonij, zmuszając je do wzmożenia ich europejskiego zaludnienia. Do tego przyczyniać się natomiast będą i względy ekonomiczne, domagające się racjonalniejszego zagospodarowania tych terytoriów, związanego zawsze z większym zagęszczeniem ich europejskiego zaludnienia, i względy polityczne, upominające się o ich ochronę przed groźbą wylania się na nie potoku niepożądanych emigrantów. Jaskrawego przykładu w tej dziedzinie dostarczają postanowienia ostatniego układu brytyjsko - egipskiego, w których Brytania, dotychczas zdecydowana przeciwniczka dopuszczenia emigracji egipskiej do Sudanu, otwiera dla niej jego terytoria jedynie już pod wrażeniem bardzo jeszcze odległej italskiej groźby z sąsiedniej Abisynii. Jeżeli więc w stosunkach pomiędzy narodami Europy, kolonizacyjna działalność jednego z nich wywołuje tak radykalne zmiany w postępowaniach drugiego, wciąż wzrastające populacyjne ciśnienie Azji wywołać powinno tym szybszy odruch samoobrony całej Europy, łączącej się w solidarnym i coraz intensywniejszym uodpornianiu jej kolonij przed aziatyckim zalewem.

Sytuacja populacyjna i surowcowa wysuwa niewątpliwie Polskę na czoło mocarstw, zmuszonych do poszukiwania kolonialnego rozwiązania tych problematów. Konieczność jednak wyemigrowania nadproduktywnego elementu naszej wsi nie oznacza bynajmniej, iż cała ta kilkomilionowa i nadliczbowa masa musi być wywieziona do krajów kolonialnych. Racjonalne bowiem zorganizowanie tej emigracji zmniejszając społeczne ciężary wsi i państwa, związane z koniecznością wyżywienia i utrzymania tych nieproduktywnych rzesz, podniesie konsumcyjną chłonność wsi na produkty spożycia i kultury, a tym samym zwiększy uprzemysłowienie i całą wytwórczość Polski, mogącej w dzisiejszych międzynarodowych warunkach rozwoju liczyć przede wszystkim na poszerzenie własnych tylko rynków wewnętrznych. Powolne uprzemysłowianie się kraju, pochłaniając emigrancki element ze wsi, będzie stopniowo hamowało emigrację do kolonij, zanikającą tymbardziej, że ich zagospodarowywanie przez polskich kolonistów, przyczyniać się będzie ze swej strony do zwiększenia ich zapotrzebowania na wyroby polskiego przemysłu i coraz większe dostawy do Polski ich własnych surowców, również przyśpieszających rozwój jej uprzemysłowienia.

Dążąc do zdobycia kolonij nie dla samego tylko zadowolenia dumy posiadania, lecz dla istotnych potrzeb ich eksploatacji, nie należy zapominać, że wymagają one wielkich zasobów finansowych i wieloletniego w tej dziedzinie doświadczenia. Potrzeby te, których mnożąca się ilość krajowych „specjalistów" kolonialnych nigdy nie bierze pod uwagę, muszą być specjalnie podkreślone, gdyż prawo do posiadania kolonij wiąże się dzisiaj coraz ściślej z obowiązkiem ich eksploatacji, oraz że tylko konieczności tego nadają naszemu potencjałowi emigracyjnemu określonych walorów międzynarodowych i upoważniają do żądania jego kolonialnego zatrudnienia. Brak tych właśnie zasobów finansowych, jak również i fachowego doświadczenia, nie mogącego być zastąpionym genialną improwizacją, wchodzącą coraz bardziej w tradycje narodowe, imperatywnie doradzają nam konieczność poszukiwania współpracy kolonialnej ze szczęśliwszymi pod tym względem mocarstwami.

Wytwarzająca się dzisiaj międzynarodowa sytuacja kolonialna może nam ułatwić osiągnięcie takiego rozwiązania, w którym moglibyśmy uzyskać ścisłe gwarancje swobodnego narodowego rozwoju i określonych uprawnień politycznych dla zwartej masy naszych emigrantów, oraz pewnych uprawnień gospodarczych dla naszego państwa w koloniach któregoś z mocarstw, wypływających z ich rozwoju, harmonizującego współpracę tych emigrantów z metropolitalnym kapitałem kolonii. O praktycznych możliwościach takiej współpracy świadczą dowodnie stosunki w British Commonwealth of Nations, gdzie szerokie kulturalne i polityczne uprawnienia Francuzów w Kanadzie i Holendrów w Afryce, w niczym nie zmniejszają lojalności tych Dominiów dla metropolii. Nasze geograficzne położenie w zamkniętym basenie Bałtyku i płynąca stąd możność kontrolowania naszych komunikacyj przez główne mocarstwa kolonialne, chroni je przed politycznym niebezpieczeństwem z naszej strony, przynosząc równocześnie wszelkiego rodzaju gospodarcze korzyści rozporządzania potężną emigracyjną siłą rolniczą.

Jeżeli dzień dzisiejszy nie rozwiąże oczywiście tych skomplikowanych spraw kolonialnych, to jednak śmiała kolonizacyjna i osiedleńcza inicjatywa Italii w Afryce, tak gwałtownie poruszająca koła kolonialne Europy, walnie przyczyni się do przygotowania przyszłych tego rozwiązań. Też sama inicjatywa, zwiększająca użytkowe walory szeregu dysponujących siłą emigracyjną państw Europy i wprowadzająca je do przyszłej kolonialnej organizacji jako czynnik równowartościowy mocarstwom o dużych kapitałach i kolonialnym posiadaniu, podniesie również ich znaczenie polityczne oraz przygotuje teren ich ściślejszej współpracy w Europie, wymagającej, jak i każda współpraca, zastąpienia dotychczasowej zasady podporządkowania, obowiązującej niestety jeszcze i dzisiaj w wielu dziedzinach życia międzynarodowego, zasadą istotnej, prawnej i faktycznej równości.

ŻYCIE PROWINCJI

S. P.

Rozłam w Jungdeutsche Partei

Ostatni rozłam w Jungdeutsche Partei rzuca na partię tę snop światła, w blasku którego ukazuje się wyraźnie jej prawdziwe oblicze.

J. D. P. od początku swej działalności przechodziła przez kilka wstrząsów, w rezultacie których mniejsze lub większe grupki członków opuszczały szeregi partyjne.

Wystąpienie jednak Schneidera różni się znacznie od tamtych.

Różnica ta nie polega na sile rewolty wewnętrznej, ani też na tym niewątpliwie bardzo charakterystycznym fakcie, że w tym wypadku przeciw Wiesnerowi wystąpił jego zastępca, człowiek obdarzony dotychczas jego pełnym zaufaniem, ten, który z powodzeniem likwidował wszystkie poprzednie opozycyjne kierunki w partii.

Istotą różnicy wystąpienia Schneidra w porównaniu z poprzednimi nieporozumieniami wewnętrznymi jest moment zaczepienia o taktykę kierownictwa partii w stosunkach zewnętrznych tj. do Państwa.

Schneider zarzucił sen. Wiesnerowi fuszerkę polityczną, jak się wyraża w swej rozłamowej odezwie.

Sformułowanie zarzutu nie jest kompletne, ponieważ Schneider nie uważał za stosowne uzasadnić swego oskarżenia, ani przytoczyć przykładów tej fuszerki.

Dla wskazania na jak wielki i gwałtowny skok zdobywa się Schneider, należy zauważyć, że J. D. P. była organizacją z charakteru nawskroś totalną, a członkowie jej byli wychowani w bałwochwalczym niemal kulcie dla osoby Wiesnera, który nosił tytuł „Landesfuhrer".

Senator Wiesner wie najwidoczniej dobrze, co ocenia Schneider jako polityczną fuszerkę, skoro w odezwie potępiającej swego dotychczasowego zastępcę i przyjaciela pisze, że kwestii niemieckiej w Polsce nie można rozwiązać drogą szarży huzarów, ale należy systematycznie i wytrwale dążyć do celu.

To już nam wyjaśnia bardzo wiele, mianowicie to, że rozłam powstał na tle poglądu na taktykę posunięć partii w stosunku do Państwa.

Nie wpływały natomiast na sprawę rozłamu poglądy na kwestię stosunku do obozu starych w społeczeństwie niemieckim. Pod tym względem zapatrywania obu wodzów Wiesnera i Schneidra były zgodne. Obaj żądali zawsze kapitulacji starych przez podporządkowanie się ich Wiesnerowi i kierownictwu J. D. P., jako reprezentującemu czysty narodowy socjalizm w Polsce.

Ten moment taktyczny, że się wyrażę, daje wiele do myślenia, jeżeli się rozważy przebieg pierwszego, znanego już etapu rozłamu. Walka rozłamowa jeszcze trwa i narazie trudno mówić o jej zakończeniu, mimo szeregu zewnętrznie efektownych sukcesów odniesionych przez senatora Wiesnera. Jednak przebieg jej wskazuje na jeszcze jeden bardzo charakterystyczny moment — to, że rozłam był przygotowywany od dłuższego czasu.

Schneider zdołał przekonać kierowników okręgu poznańskiego i pomorskiego o konieczności usunięcia Wiesnera. Do akcji tej wciągnięta następnie została organizacja kobieca, której kierownictwo urzędowało w Poznaniu oraz szereg referentów organizacji.

Nie był więc rozłam odruchem czy reakcją, spowodowaną przez podniecenie chwilowe, ale planową akcją przygotowywaną z pewnym rachunkiem.

W pierwszej chwili t. j. w dniu 27 maja zdołał Schneider opanować biuro okręgu katowickiego. Ale Wiesner odwołuje się do miejscowej placówki a więc jednostki niższej i przy jej pomocy podporządkowuje sobie biuro okręgowe.

Wyparty z Katowic udaje się Schneider do Poznania. Tu podporządkowują mu się kierownik placówki i redaktor naczelny organu partyjnego „Deutsche Nachrichten", organizacja kobieca i kilku referentów. Zdołał dalej zawładnąć organem partyjnym i drukuje tu swoją odezwę rozłamową. W ten sposób trwająca już od 27.5 walka w kierownictwie J. D. P. w dniu 8.6 wychodzi na szpalty pisma codziennego „D. N." aby wstrząsnąć opinię niemiecką w Polsce.

Nie udało się wprawdzie długo utrzymać się rozłamowcom w redakcji „Deutsche Nachrichten" i w biurze kierownictwa okręgowego. Już następnego dnia zmuszeni są ustąpić z tych pozycji.

Przyczyną tej porażki opozycji Schneidera jest zawód, jaki im zgotował kierownik okręgu poznańskiego, Uhle, który w decydującym momencie opowiedział się po stronie Wiesnera.

Sam w odezwie wydanej w parę dni później mówi o sobie, że i on (Uhle) był tego mniemania, że najlepszym dla partii rozwiązaniem byłoby to, żeby senator Wiesner pozostał senatorem ludowym czy narodowym, a Schneider kierownikiem partii.

To szczere wyznanie kierownika okręgu poznańskiego o partii wskazuje na prądy i tendencje, które w niej panowały przed rozłamem. Chodzi nie o podkreślenie zasadniczego momen-

tu, że w organizacji na wskroś totalnej, jaką jest J. D. P., szerzony był pogląd, który znajdował posłuch u czołowych działaczy, że wódz i twórca ruchu spełnił swoją misję, że musi być ograniczony do roli zaszczytnej, ale nie mniej drugorzędnej, jaką ma być reprezentacja mniejszości niemięckiej w Senacie, a miejsce jego ma zająć Schneider.

Stwierdzą to, że bunt był planowany, przygotowywany i obliczony.

Że w chwili decydującej zawiódł Uhle, że w jego ślady poszedł kierownik okręgu pomorskiego Spitzer, który co prawda mniej miał styczności z rozłamem, to jest inna rzecz.

Można to określić słowami: zawiodło wykonanie, ale plan był teoretycznie uzasadniony.

Konkretyzując, należy stwierdzić, że ostatni rozłam w J. D. P. powstał na tle różnicy poglądów w najwyższym kierownictwie partii na sprawę stosowanej taktyki do Państwa Polskiego i że był przygotowywany z określonym planem. Plan ten, na podstawie dyskusji między grupą Schneidera i Wiesnera można z dużą dozą prawdopodobieństwa odtworzyć.

Więc Schneider żądał zaostrzenia kursu do Państwa i przejścia od próśb do żądań. Tu należy przypomnieć pewne dość charakterystyczne momenty:

W swoim czasie działacz partyjny nazwiskiem Steuck, w mowie publicznej wygłoszonej w Bydgoszczy, oświadczył, że Niemcy w Polsce będą śmiało domagać się praw dla siebie, bo za nimi stoi silne państwo, które w każdej chwili upomni się za nimi. Wywołało to ukaranie z jednej strony Steucka, z drugiej pewne ograniczenia w stosunku J. D. P. jako całości. W związku z tym senator Wiesner uznał wystąpienie Steucka jako szkodliwe z punktu widzenia politycznego i w konsekwencji usunął go z partii. Z chwilą zaistnienia rozłamu, pierwszym posunięciem Schneidera było przyjęcie Steucka do swoich szeregów.

Dla oblicza ideowego Schneidra charakterystyczne jest powtarzane w swoim czasie wśród mniejszości niemieckiej jego oświadczenie, że najpród należy się zorganizować, a potem, pięścią waląc w stół, domagać się praw dla Niemców w Polsce.

Jeżeli chodzi o czas rozłamu, to nie bez znaczenia jest to, że dojrzewał on w atmosferze wzmagającego się u Niemców niepokoju w związku z wygasaniem konwencji genewskiej. Niepokój ten był szerzony sztucznie, był podżegany, to jest inna rzecz, ale nie mniej jest faktem, że z datą wygaśnięcia konwencji genewskiej pewne czynniki wśród mniejszości niemieckiej w Polsce jak i pewne czynniki w Rzeszy niemieckiej wiązały ustalenie pewnego zwrotnego punktu w położeniu mniejszości niemieckiej w Polsce i w stosunkach tej mniejszości z Państwem Polskim.

Sen. Wiesner wyrzuca swemu zastępcy, że opuścił wyznaczone mu stanowisko, ściśle związane z ciężką chwilą wygasania konwencji genewskiej. (Schneider w chwili rozłamu był kierownikiem okręgu katowickiego). Ale nam trudno jest oprzeć się przypuszczeniu, że właśnie ta chwila przynagliła Schneidera do działania.

Szereg wybitnych działaczy J. D. P., jak Uhle i inni, rozumieli plan działania Schneidera, jako zmianę na kierowniczym stanowisku. Po prostu, że Wiesner zrzeknie się prezesury, a Schneider ją obejmie. Poczem, że współpraca między nimi ułoży się, bo Wiesner pozostanie nadal „Volkssenator." W tym kierunku zapewnił sobie Schneider poparcie ze strony szeregu działaczy, którzy przybyli na 27 maja do Bielska. Ale Wiesner nie zrzekł się stanowiska wbrew opinii większości uczestników zjazdu. Schneider się zachwiał i szuka wyjścia w złożeniu urzędu. To pozwala Wiesnerowi na opanowanie sytuacji. Potem Schneider próbuje objąć kierownictwo poszczególnych organizacji w Bielsku, Katowicach i w Poznaniu i na Pomorzu (w Bydgoszczy). Ponosi jednak porażkę, bo Wiesner odwołuje się do dołów partyjnych, które nie są przygotowane do akcji, która planowana była wyłącznie wśród góry partyjnej.

Dopiero 8 czerwca Schneider, mając przejściowo w swoim ręku Deutsche Nachrichten, decyduje się uderzyć publicznie, ogłaszając, że sam staje na czele ruchu młodoniemieckiego. Osiąga przy tym pewne pozytywne rezultaty. Są to: w Poznaniu część członków przechodzi na jego stronę, kierownicy powiatowi w Gnieźnie i Międzychodzie opowiadają się za nim, pociągając podległe koła, dalej organizacje na terenie pow. grudziądzkiego idą do niego. W innych natomiast kołach powstaje chaos, a szereg nawet bardziej aktywnych działaczy w ogóle usuwa się z pracy, przechodząc do t. zw. neutralnych politycznie. Walka przechodzi w nowe stadium od góry, gdzie się zaczęła, do dołów.

Nie bez znaczenia jednak jest to, że Schneider do tej walki staje, że mimo porażek i niepowodzeń ma siły na to.

Obok wartości indywidualnych, które na to składają się, podkreślić należy jeszcze jeden niewątpliwy fakt, mianowicie, że rozłamowcy posiadają pieniądze. Pozwala im to wydawać co parę dni własne biuletyny i rozwinąć mniej więcej prawidłową działalność. Naturalnie, że Wiesner w tym czasie odnosi szereg sukcesów w postaci zapewnień wierności kół w terenie. Ale Schneider i tam wśród jednostek pozostałych przy starym kierownictwie posiada przyjaciół.

Ten stan rzeczy pozwala przypuszczać, że poza osobą Schneidera stoją pewne czynniki zewnętrzne, które mu udzieliły poparcia moralnego i zapewne też i materialnego.

W przeciwnym razie cały pucz skończyłby się z chwilą przejęcia lokali partyjnych i redakcji Deutsche Nachrichten przez senatora Wiesnera.

Ten stan przeciągania się walki daje nadzieję rozłamowcom, że w pewnej chwili senator Wiesner zgodzi się na kompromis i wtedy powrócą do partii na utracone stanowiska.

Gdyby nie liczyli jednak na moralne poparcie z zewnątrz, to akcja ta skazana byłaby na zagładę.

Tym czasem mamy do zanotowania zjawisko bardzo charakterystyczne, że prasa obozu starych, która początkowo rozłam w J. D. P. wygrywała dla własnych partyjnych celów, obecnie milczy i nie zajmuje stanowiska w tej sprawie, ani nie informuje. Musimy to potraktować jako ingerencję czynnika zewnętrznego, w kierunku niezadrażniania istniejących tarć i traktowania ich jako sprawy domowej, których nie godzi się wygrywać dla korzyści grupowych ze stratą dla mniejszości niemieckiej jako całości.

Pod koniec czerwca walka w łonie J. D. P. weszła w nowy okres. Obie strony zaczęły się zastanawiać nad sposobem jej likwidacji. Sen. Wiesner żąda kapitulacji, przyznania się do winy i przyjęcia bez zastrzeżeń jego wyroku, który rozstrzygnie o przyszłej pracy i stanowisku w partii.

Schneider i jego zwolennicy oświadczają, że nie zamierzają tworzyć nowej organizacji politycznej, że uważają się nadal za członków Jungdeutsche Partei, ale żądają, żeby sprawę rozłamu i ostatnich tarć rozstrzygał nie senator Wiesner indywidualnie, ale ciało kolektywne, jakim jest t. zw. „Stammgrupe", t. j. oddział macierzysty w Bielsku, do którego należą kierownicy organizacyj powiatowych partii z całego terenu Państwa oraz szereg starych wybitnych działaczy.

Że „Stammgruppe" będzie względniejsza dla rozłamowców niż senator Wiesner, to nie ulega wątpliwości.

Ale forma likwidacji zatargu i wynikłego z niego rozłamu jest zjawiskiem drugorzędnym.

Istotą, na którą należy zwrócić specjalną uwagę, są: tendencje do zaostrzenia kursu w stosunku do Państwa i zależność wszelkiej myśli politycznej mniejszości niemieckiej od wpływów czynników zewnętrznych, przede wszystkim od N.S.D.A.P.

Związek ten przejawiał się zawsze. I obojętnym jest, czy działa on na Niemców w Polsce w kierunku pozytywnego, czy negatywnego ustosunkowania się do Państwa Polskiego — to są względy taktyczne, zmienne z dnia na dzień. Natomiast sam fakt zaistnienia takiego związku musimy uznać za stan nienormalny i niebezpieczny dla Państwa.

Ostatni rozłam Schneidera w J. D. P. wykazuje ten związek w jeszcze wyższym stopniu niż dotychczasowe ruchy mniejszości niemieckiej i z tych względów winien zwrócić uwagę na możliwości, jakie kryje w sobie pod taką czy inną postacią uprawiany w Polsce narodowy socjalizm.

Jeśli jesteś przyjacielem pisma — staraj się zjednać mu prenumeratorów

NA MARGINESIE

KONWENCJA GENEWSKA

15 lipiec r. b. przyniósł koniec ważności zawartej w dniu 15 maja r. 1922 pod presją czynników międzynarodowych polsko-niemieckiej umowy, ujmującej w sześćset przeszło paragrafach przejściowe przepisy dla plebiscytowego terenu Śląska.

Umarłym, którym nie można poświęcić dobrego wspomnienia, należy się milczenie. Stąd też nie podejmowalibyśmy zupełnie tego tematu, gdyby nie pewne okoliczności o charakterze raczej ubocznym, które warto podnieść przy tej okazji.

Konwencja Genewska podyktowana była w swoim czasie przede wszystkim nastrojami ówczesnej niewiary w Polskę, przy równoczesnej niewierze w słuszność rozstrzygnięcia, które Polsce dawało nieco większy skrawek, wycięty z całości wielkiego, bezsprzecznie polskiego obszaru Śląska.

Powrót części tego obszaru do Polski, dokonany pod presją orężnej walki miejscowej ludności, traktowany był przez czynniki międzynarodowe, jako niebezpieczny eksperyment, którego ryzyko musi być pomniejszone i osłabione przez wytworzenie skomplikowanego stanu prawnego, przez przewidzenie szeregu możliwych powikłań, płynących z rzekomej nienormalności wytworzonego stanu.

Otóż to, na co przede wszystkim warto zwrócić uwagę w momencie upływu terminu ważności Konwencji Genewskiej, to fakt, w jakim stopniu wszystkie te obawy okazały się bezzasadne i nieumotywowane. Mimo wytworzenia szczególnie niepomyślnych warunków przez przecięcie linią graniczną polskiego etnograficznie obszaru — przywrócona Polsce część Śląska zrosła się z całością naszego organizmu narodowego i państwowego w sposób jak najbardziej naturalny i bezpośredni. Bez przesady można wypowiedzieć sąd, że już od dłuższego czasu najbardziej właśnie sztucznym i nienormalnym elementem całego układu stosunków na polskim Śląsku było nie co innego, lecz właśnie obowiązujące tam przepisy Konwencji Genewskiej, jako umowy, której konsekwencją było utrzymywanie całej aparatury międzynarodowej interwencji w postaci Komisji Mieszanej, czy też w postaci Trybunału Rozjemczego.

Istnienie tego rodzaju instancji międzynarodowych było z natury rzeczy jak gdyby katalizatorem pewnego niepokoju, czynnikiem, pobudzającym do korzystania z innych ośrodków ochrony faktycznej i formalnej, niżeli tylko te, które normalnie zapewnia Państwo w granicach swych ustaw i swego ładu prawnego. Nie mniej jednak, szczególnie w latach ostatnich, nie miało to już większego znaczenia w całości życia dzielnicy śląskiej. Konwencja Genewska zamierała faktycznie już na długo przed dniem 15 lipca r. b., to jest przed dniem upływu jej mocy formalnej. Dzień ten zastał już sytuację zupełnie wyjaśnioną. Jeśli ktoś kiedyś liczył się z faktem, że z dniem 15 lipca r. b. będą jeszcze istniały sprawy, wymagające utrzymania dotychczasowych postanowień Konwencji, jako umowy międzynarodowej, to już od dłuższego czasu mógł i powinien był zdać sobie sprawę, że tego rodzaju przewidywania są absolutnie bezzasadne. Dla galwanizowania trupa nie było już od dawna żadnej podstawy realnej.

Pozostało zagadnienie wytworzenia nowej sytuacji prawnej i faktycznej po obu stronach granicy. I otóż tutaj zanotować należy zjawisko dużej i niepokojącej różnicy. Po stronie polskiej została zwołana sesja sejmowa, której zadaniem jest, między innymi, nadanie nowej formy prawnej niektórym punktom dawnej Konwencji Genewskiej, z uwzględnieniem daleko idących uprawnień mniejszości niemieckiej w Polsce. Po stronie niemieckiej rozpoczęły się pewne posunięcia faktyczne, których cechą jest zagrożenie ludności polskiej w Niemczech w jej dotychczasowych warunkach egzystencji. Podstawą tego zagrożenia jest całe dzisiejsze ustawodawstwo niemieckie, które otwiera pole dla niczym nieograniczonej ingerencji państwa totalnego w każdą dziedzinę życia jednostkowego i zbiorowego ludności polskiej w Niemczech.

Ta różnica dzisiejszego stanu faktycznego po obu stronach granicy jest zbyt wielka, by mogła być niedostrzeżona, by mogła nie budzić niepokoju i nie wymagać szczególnej czujności wszystkich czynników polskich w kraju.

ROCZNICA

Tylko przez niektóre pisma zauważona i podkreślona została przypadająca w dniu 22 lipca r. b. dwudziesta rocznica aresztowania Józefa Piłsudskiego.

Znaczenie polityczne tej rocznicy jest jednak dość duże, by na jej marginesie zanotować kilka uwag, które nie są bez znaczenia, szczególnie wobec podjętych ostatnio ze strony pewnych czynników dawnego obozu narodowo-demokratycznego prób rewizji poglądów na niektóre zagadnienia ostatniego okresu naszej historii.

Dzień aresztowania Józefa Piłsudskiego i warunki tego aresztowania, to — między innymi — moment, w którym dokonał się charakterystyczny przewrót w układzie naszych stosunków wewnętrznych, to moment, w którym ówczesny obóz t. zw. „narodowy" przegrał ostatnią stawkę, która mogła zapewnić moralne zwycięstwo jego politycznego stanowiska w czasie wojny.

Nie chcemy tutaj podejmować dawnych sporów orientacyjnych. Jednakże faktem jest, że spory te są podejmowane z wielkim zapasem wiary i równocześnie z wielką nieznajomością zarówno faktów, jak przede wszystkim atmosfery minionego okresu. Przykładem tego może być przede wszystkim głośna książka Jędrzeja Giertycha „Tragizm dziejów Polski", książka, której autorowi trudno jest odmówić dobrej wiary i szczerego przekonania, która jednak jest niczym więcej, jak typowym przykładem nieustannego zacierania prawdy przez zaciemniony horyzont patrzenia ze strony fanatycznego, lecz jednocześnie naiwnego wyznawcy.

W obliczu sporów, podejmowanych przez tego rodzaju ludzi, wychowanych już w innej atmosferze, nie od rzeczy jest przy sposobności rocznicy przypomnieć kilka faktów.

Układ stosunków w pierwszym okresie wojny był tego rodzaju, przy którym z konieczności różnica postawy aktywnej społeczeństwa musiała być obustronnie obciążona faktem oparcia się o koncepcję współdziałania na rzecz zwycięstwa jednego, czy drugiego z pośród państw zaborczych. Dopiero klęska Rosji i wybuch Rewolucji Rosyjskiej zmieniły do pewnego stopnia ten układ stosunków. Ziemia przyszłego Państwa Polskiego pozostała w rękach i we władaniu jednej ze stron walczących. Gdyby w tym okresie wewnątrz t. zw. „obozu narodowego" znalazły się zdecydowane czynniki, które by podniosły sztandar walki z czynnikami wojskowej i politycznej okupacji niemieckiej i austriackiej — postawa moralna tego obozu uległaby niezmiernemu wzmocnieniu. Tak się jednak nie stało. Faktem historycznym pozostał fakt inny, to jest, że wojnę przeciwko panowaniu Niemiec i Austrii w Polsce podjął ten sam Człowiek i ten sam obóz, który uprzednio podjął i przez czas dłuższy prowadził wojnę przeciwko panowaniu rosyjskiemu w Polsce. Aresztowanie Józefa Piłsudskiego, podobnie jak poprzednie rozbrojenie Legionów, było wyrazem i symbolem tej wojny. Jednakże znaczenie tego faktu nie było tylko symboliczne. Pociągnęło ono za sobą fakty realne. Ośrodkiem oporu czynnego przeciwko władzom okupacyjnym stała się P. O. W., podobnie jak poprzednio Legiony były ośrodkiem nie tylko antyrosyjskiej orientacji, lecz przede wszystkim antyrosyjskiego działania.

Dzień 22 lipca, to przede wszystkim dzień znamiennego ustalenia się linii podziału idącej przez ówczesne społeczeństwo polskie. Podział ustalił się zupełnie inaczej, niżeli nawet nieraz w dobrej wierze próbują to dzisiaj przedstawić niektórzy publicyści obozu narodowego. Po jednej stronie byli wciąż ci, którzy byli zdolni psychicznie do walki chociażby w najcięższych warunkach, po drugiej ci, którzy całą nadzieję położyli w biernym oczekiwaniu. Jeśli zaś ktoś dzisiaj chce do zagadnienia tego podziału podchodzić z innym miernikiem i szukać różnic politycznych i różnic orientacji, to nie może — jeśli chce być uczciwym — zamykać oczu na fakt, że wyrazicielem istotnej i czynnej orientacji antyniemieckiej był od dnia 22 lipca i nie kto inny, lecz właśnie Józef Piłsudski i pozostawiony przez Niego, Jemu ideowo podległy, obóz żołniersko-peowiacki.

Piszemy o tym obecnie nie dlatego, by wznawiać dawne spory o orientacje wojenne z przed lat dwudziestu. Piszemy dlatego, że we wznawianych dzisiaj przez drugą stronę sporach nawet tak proste i tak podstawowe prawdy owego okresu są czasem w dobrej, czasem w złej wierze, starannie zaciemniane i fałszowane.

NIEZAŁATWIONA SPRAWA

Sesja sejmowa w sprawie wawelskiej utrzymana była, jak to przewidywaliśmy, w formie poważnej zresztą i podniosłej, lecz tylko manifestacji. Była ona jak gdyby tylko podkreśleniem istnienia sprawy, dla której została zwołana, mimo wystosowania przez ks. Metropolitę formalnego listu z paru słowami przeproszenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Sama sprawa jednak nie została na sesji tej podjęta w swojej istocie.

Czy sprawa ta istnieje pomimo listu ks. Metropolity? — Niewątpliwie, tak! — Istnieje, i to nie tylko dlatego, że list dotyczył tylko jednego fragmentu sprawy i nie był załatwieniem jej istoty, lecz i dlatego, że nawet sama sprawa listu była charakterystycznym, lecz wymownym podkreśleniem nienormalności istniejącego w tej chwili stanu.

Jeśli przyjmiemy nawet, że list ks. Metropolity był wystarczającym zadośćuczynieniem—nie w stosunku do sprawy samowolnego przeniesienia Zwłok Marszałka, lecz do związanego z tą sprawą faktu nieposzanowania okazanego Pierwszemu Obywatelowi Rzeczypospolitej — to i tu muszą nasuwać się daleko idące refleksje. Nie może być uznane za rzecz normalną, jeśli w tego rodzaju sprawach i w tego rodzaju wypadkach, trzeba dyplomatycznych zabiegów na terenie międzynarodowym, aby za pośrednictwem dopiero tych zabiegów skłonić obywatela Państwa Polskiego do pewnego ustępstwa ze swego stanowiska nieposzanowania Państwa w osobie jego najwyższego przedstawiciela. Rzeczpospolita nie może zgodzić się na to, by miała gwarancji szacunku swych obywateli dla swych autorytetów szukać za pośrednictwem obcych, choćby najwyższych i sobie najprzychylniejszych instancji.

Sprawa wawelska nie została załatwiona. Nie została załatwiona ani w swym doraźnym charakterze, dotyczącym sprawy samowoli ks. Metropolity, ani w swym charakterze zasadniczym—zabezpieczenia Państwa na przyszłość przed lekceważeniem jego spraw i jego autorytetu ze strony przedstawicieli innego autorytetu: autorytetu Kościoła.

Sprawa ta nie została załatwiona ani przez list ks. Metropolity, ani przez sesję sejmową. Pozostała otwarta i czekająca załatwienia.

O NAS U OBCYCH

Sytuacja finansowa i dewizowa Gdańska. — Polska na Bałtyku. — Po wygaśnięciu Konwencji Genewskiej.

I.

Dzięki bezpośrednim rokowaniom i rozmowom przedstawicieli W. M. Gdańska wierzyciele angielscy — jak to podnosi z zadowoleniem *„Der Danziger Vorposten"* — wyrazili zgodę na obniżenie wysokości oprocentowania i przesunięcia terminów spłaty rat pożyczek gdańskich, zaciągniętych w latach 1925 — 1930.

Omawiając szczegółowo całość tej sprawy, „Der Danziger Vorposten" podkreśla, że obecny sternik rządów w Gdańsku — partia narodowo - socjalistyczna — likwiduje długi, jakie pozostawiły po sobie dawniejsze, partyjne rządy w Gdańsku, które nie prowadziły planowej polityki gospodarczej, lecz żyły z pożyczek („Pump-Politik"). Partia narodowo - socjalistyczna — ciągnie dalej pismo — nie zawahała się wziąć na swoje barki odpowiedzialności za przeprowadzone przez siebie, dla usanowania gospodarki Gdańska, rygorystyczne posunięcia podatkowe i inne, tym podobne akcje sanacyjne. „Gdańsk — pisze dosłownie „Der Danziger Vorposten" — będzie musiał w przyszłości prowadzić taką politykę finansową, by móc zebrać u siebie dostateczną ilość złota i dewiz zagranicznych, by móc w ten sposób zachować pełną swobodę w prowadzeniu odpowiedniej polityki dewizowej i — co za tym idzie — swobody posunięć politycznych".

Na marginesie powyższych wywodów warto dodać, że jeżeli chodzi o politykę łatania dziur pożyczkami zagranicznymi, to Gdańsk brał tu żywy wzór z podobnych posunięć z terenu ówczesnych Niemiec, które zagadnienie przyciągania do siebie pożyczek zagranicznych doprowadziły do wirtuozerii. Dzisiejsi sternicy losów Gdańska w osobie narodowych socjalistów winni jeszcze pamiętać o tym, że np. do odesłania na teren Rzeszy Niemieckiej ca 30.000 „Gdańszczan" (dokładniej — emerytów niemieckich) — zmusił ich fakt wstrzymania wypłaty tym emerytom przez dzisiejszy rząd Rzeszy Niemieckiej pieniędzy, należącym się im na podstawie zaopatrzenia emerytalnego. Winni oni jeszcze pamiętać o tym, że bez tych emerytów partia narodowo - socjalistyczna nie zdołałaby uzyskać decydujących wpływów na terenie Wolnego Miasta...

II.

W ramach niedawno temu w Lubece odbytych obrad stowarzyszenia „Nordische Gesellschaft" wygłosił niemiecki minister komunikacji dr. Dorpmuller referat, poświęcony zagadnieniom komunikacyjnym, handlowym i gospodarczym na Bałtyku. Jak wynika z zamieszczonego w czasopiśmie *„Deutsche Bergwerkszeitung"* tekstu tego referatu, sprawom polskim na Bałtyku z tego odcinka dr. Dorpmuller poświęcił, niestety, nieproporcjonalnie mało miejsca.

Dr. Dorpmuller wskazał nasamprzód na fakt, że Bałtyk stanowi jeden z najbardziej ożywionych punktów komunikacyjnych handlu światowego, mimo, że państwa nadbałtyckie nie zaliczają się wcale do państw wielkich, do mocarstw. Tajemnica tego ożywienia tkwi — zdaniem dr. D. — w tym, że państwa nadbałtyckie eksportują szereg cennych a przez pozostałe państwa Europy ogromnie pożądanych produktów surowcowych.

I tak Dania, jako kraj rolniczy, eksportuje produkty, uzyskiwane z hodowli bydła. Szwecja wywozi drzewo i rudy, Finlandia drzewo; eksport pozostałych państw nadbałtyckich nie posiada decydującego dla sprawy znaczenia.

Po wojnie światowej — ciągnie dalej dr. Dorpmuller — zjawiła się nad Bałtykiem Polska. Eksportuje ona poprzez nowozbudowany port gdyński, głównie do Danii, Norwegii i Szwecji — węgiel (w roku 1935 prawie 8 milionów ton). To zjawienie się Polski nad Bałtykiem wprowadziło do panującego do tego czasu na Bałtyku układu komunikacyjnego, poważne perturbacje, zmieniając dotychczasowy kierunek tej linii, idącej z wschodu na zachód, na linię północ — południe. Ten stan rzeczy — zdaniem dr. D. — przyczynił się do powstania trudności dla odpowiedniego wykorzystania Bałtyku jako drogi morskiej, gdyż struktura gospodarcza Polski oraz państw skandynawskich jest za bardzo do siebie podobna, by na tej linii mógł się rozwinąć jakiś żywszy handel zamienny (!).

Uwagi swoje zakończył dr. Dorpmüller omówieniem sytuacji Niemiec nad Bałtykiem oraz roli Bałtyku jako drogi handlowej. Struktura gospodarcza państw nadbałtyckich — mówił dr. D. — przyczyniła się w sumie do tego, że Bałtyk stał się dzisiaj drogą handlową o wyjątkowym znaczeniu i wyjątkowej żywotności.

III.

W związku z upływem w dniu 15 lipca genewskiej konwencji górnośląskiej różne dzienniki i czasopisma niemieckie przyniosły obszerne omówienia, związane z tym zagadnieniem. *„Diplomatisch Politische Korrespondenz"* ogłosiła obszerny artykuł w sprawie upływu konwencji górnośląskiej i zawarcia prowizorycznej ugody polsko - niemieckiej. Korespondencja kreśli na wstępie historię układu, zaznaczając, że był on pomyślany na okres przejściowy. Jakkolwiek narzucona była obu partnerom przez stronę trzecią, okazała się jednak konwencją pożyteczną. W związku z wygaśnięciem konwencji zawarto w ostatnich tygodniach między Niemcami i Polską szereg porozumień i układów. Porozumienia te idą po linii obustronnych oświadczeń z 26 stycznia 1934 r., w których Niemcy i Polska wyraziły zamiar bezpośredniego porozumienia się we wszelkiego, jakiegokolwiek bądź rodzaju, sprawach z zakresu ich wzajemnych stosunków.

*

Omawiając wygaśnięcie konwencji górnośląskiej, naczelny publicysta organu Labour Party *„Daily Herald"*, Ewer zamieszcza następujące uwagi:

Przez długi okres czasu urzędy spraw zagranicznych Europy notowały w kalendarzach datę lipiec 1937 jako niebezpieczny miesiąc, w którym może nastąpić bardzo przykra sytuacja. Przez długie lata miesiąc ten wzbudzał obawy jako ten, w którym wygasa polsko - niemiecka konwencja górnośląska i zakończy się tymczasowy regime, ustanowiony przez Radę Ligi w 1922 r.

W okresie pierwszych kilkunastu lat samo słowo „Górny Śląsk" brzmiało groźnie. Górny Śląsk był jednym z najniebezpieczniejszych miejsc w Europie i stanowił źródło ustawicznych kłopotów. Oczekiwano, że gdy tymczasowe porozumienie wygaśnie, to nastąpi bardzo przykra, pełna niebezpieczeństw sytuacja. Ostatnio jednak nastąpiło nagłe i spokojne zniknięcie kwestii Górnego Śląska. Oczywiście mniejszość istnieje tam w dalszym ciągu, ale już nie zachęca się jej do tego, aby sprawiała kłopot, przeciwnie oczekuje się od niej spokojnego zachowania i nie sprawiania swym rządom ambarasu. Tak więc się stało, że burza śląska, która miała przejść na całą Europę w tym tygodniu, nie jest bynajmniej burzą. Co do większości kwestyj, powstałych w związku z wygaśnięciem konwencji, porozumienie zostało już osiągnięte, a co do reszty zostanie niewątpliwie zawarte. Napewno — kończy dziennik — nie dojdzie do żadnego kryzysu. Rządy nie mają ze sobą sporów, o ile nie zechcą ich wszczynać, nawet wówczas, gdy w grę wchodzą najbardziej nieuniknione powody sporu.

*

Z innych charakterystycznych głosów prasy na temat Konwencji Genewskiej na uwagę zasługuje głos *„Konigsberger Allgemeine Zeitung"*, na której łamach niejaki dr Friedrich Lange kreśli obraz nowej sytuacji na Śląsku („Oberschlesiens neues Gesicht") w sposób wybitnie jednostronny i fałszywy. Stwierdziwszy, że obie części Śląska po przeprowadzonym plebiscycie poszły w swoim rozwoju gospodarczym odrębnymi drogami, próbuje on zasugerować czytelnika twierdzeniem, że Polska wykazuje w stosunku do swojego Śląska bardzo małe zainteresowanie, a szczególnym sentymentem obdarza nowy okręg przemysłowy w trójkącie Wisła — San pod Sandomierzem. Z nieukrywaną złośliwością powtarza dr Lange kursującą rzekomo na Śląsku wersję, że niezadługo wokół zbudowanego przez Fryderyka Wielkiego (!) Chorzowa zielenić się będą łąki i będzie szumiał las! Oczywiście Niemcy — powiada dalej dr Lange — poszły w trosce o swoją część Śląska dalej niż Polska. Niemcy coraz bardziej i coraz systematyczniej opiekują się Śląskiem Opolskim, tak bardzo zaniedbanym w latach dawniejszych, przeprowadzając na jego terenie szereg poważnych inwestycji i rozbudowywując intensywnie sieć dróg komunikacyjnych. Wywody swoje kończy dr. Lange obłudnym frazesem o bolszewiźmie jako niebezpieczeństwie, grożącym via Czechosłowacja zarówno Śląskowi niemieckiemu, jak też i polskiemu!

PRZEGLĄD PRASY

Po likwidacji Konwencji Genewskiej

Z dniem 15 lipca r. b. przestała obowiązywać na obszarze woj. śląskiego oraz Śląska Opolskiego Konwencja Genewska z 15.7.1922 r. Z pomyślanej jako mający przyczynić się do przejściowej zresztą regulacji wzajemnych stosunków obu części Śląska instrument Konwencji korzyść ciągnęła właściwie i tylko strona niemiecka, uzyskująca w niej drogę do ingerowania w przeróżne sprawy wewnętrzne Województwa Śląskiego. Z tego więc przede wszystkim względu strona polska żegnała tracącą w roku bież. swą ważność Konwencję bez żalu.

Na posiedzeniu Sejmu Śląskiego w dniu 16 lipca marszałek Sejmu, Karol Grzesik, mówił o tym doniosłym dla kraju i Śląska fakcie co następuje:

„Zarówno społeczeństwo, jak i Sejm Śląski żegna tę umowę międzynarodową z ulgą. Niewątpliwie leżała u jej podstaw idea wzniosła obrony praw ludzkich. Ale w życiu praktycznym stała się ona instrumentem nadużyć moralnych obywateli w stosunku do swego państwa. Stwarzała przywileje dla jednej grupy ludzi ze szkodą dla drugiej".

W udzielonym „KURJEROWI WARSZAWSKIEMU" wywiadzie wojewoda Michał Grażyński zwrócił uwagę na nową sytuację mniejszości niemieckiej.

„Sytuacja prawna niemieckiej mniejszości narodowej na Śląsku o tyle ulega zmianie, że odpadają przepisy Konwencji Genewskiej. Nie można jednak tego uznać za pogorszenie warunków prawnych, wśród jakich rozwijać się będzie życie mniejszości narodowej, boć przecież Konstytucja Rzeczypospolitej gwarantuje każdemu obywatelowi prawo".

Zwracając dalej uwagę na wystar-

czające warunki dla możliwości zrzeszania się Niemców w nowej sytuacji prawnej, woj. Grażyński podkreślił konieczność szczerego i bezwzględnie lojalnego zachowywania się organizacji niemieckich wobec państwowości polskiej.

„Ostatnie procesy — mówił on— wskazują, że na teren organizacji niemieckich przedostają się jeczasem nieodpowiedzialne elementy, próbujące zaszczepić irredentę i zatruwające w ten sposób atmosferę współżycia. Tego rodzaju tendencje muszą być oczywiście całkowicie wytępione. Oczywiście rzeczą niezmiernie ważną dla kształtowania się spraw mniejszościowych u nas jest kwestia losu Polaków na Śląsku Opolskim".

Stanowisko ludności polskiej Śląska Opolskiego wobec faktu upłynięcia ważności Konwencji Genewskiej sprecyzowały opolskie „NOWINY CODZIENNE" (Nr. 158) następująco:

„Nie wchodząc w to, czy Konwencja spełniła czy nie spełniła swego zadania, trzeba stwierdzić, że od samego początku nie było jej zadaniem ustalenie prawnego położenia ludności polskiej w Rzeszy Niemieckiej odnośnie do terenu Śląska Opolskiego jako trwałej podstawy naszego życia narodowo-kulturalnego. W żadnym zaś wypadku Konwencja nie była podstawą czy warunkiem istnienia ludności polskiej na Śląsku Opolskim. Polakami bowiem byliśmy i pozostaniemy nie z łaski Konwencji Genewskiej, ale z łaski Bożej i z faktu naszej przynależności do Narodu Polskiego. Mamy więc naturalne prawo do własnego, odrębnego życia narodowego. Zagwarantowania zaś tych praw i stosowania ich w praktyce domagaliśmy się zawsze od Państwa Niemieckiego, a nie od żadnej międzynarodowej instytucji czy międzynarodowej umowy".

Strona niemiecka winna pamiętać, że od właściwego i rychłego uporządkowania sytuacji prawnej ludności polskiej w Niemczech zależeć powinno — jak to podkreślił słusznie w wyżej już wzmiankowanym wywiadzie prasowym woj. Grażyński — również i „kształtowanie się spraw mniejszościowych u nas".

Polacy w Niemczech

Obradująca w dniu 24 b. r. w Berlinie Rada Naczelna Związku Polaków w Niemczech przyjęła do wiadomości fakt wystosowania przez Zarząd Z. P. w N. do Wodza i Kanclerza Rzeszy Niemieckiej prośby o audiencję dla przedstawienia mu położenia ludności polskiej w Niemczech i wezwała społeczeństwo polskie do wyczekiwania ze spokojem i zaufaniem wyniku tego kroku.

Nawiązując do powyższego „GAZETA POLSKA" (Nr. 188) pisze:

„Kanclerz jest w Rzeszy instancją najwyższą i tylko od niego mogłyby wyjść instrukcje, których skutkiem byłoby nowe nastawienie administracyjnych władz niemieckich do ludności polskiej. Kanclerz oświadczał niejednokrotnie, że „nie zna pojęcia germanizacji", że „nie myśli kontynuować błędów w przeszłości popełnionych", że „we wzajemnej ochronie narodowości widzi jeden z najbardziej doniosłych celów odpowiedzialnej polityki państwowej". Dnia 30 stycznia r. b. stwierdził w Reichstagu, że „uwzględnianie słusznych uczuć dumy i świadomości narodowej" ułatwia tylko współżycie dwu narodów i wychodzi na korzyść sprawie pokoju europejskiego. Nasi rodacy są przekonani, że w bezpośredniej z kanclerzem rozmowie potrafią wykazać, iż jego zasady nie znalazły jeszcze w życiu codziennym zastosowania".

Sprawa powyższa zasługuje na specjalną uwagę społeczeństwa polskiego w kraju. Jednak w obliczu wzmożonych ostatnio szykan i utrudnień wydaje się, że najwyższe czynniki polityczne w Rzeszy nie prędko odważą się na powzięcie i sprecyzowanie odpowiednich decyzji.

Zagadnienie Rosji i Polska

Na marginesie nowej sytuacji politycznej, w jakiej znalazła się ostatnio Rosja sowiecka „KURJER POZNAŃSKI" (Nr. 318) pisze co następuje:

„Po wojnie światowej trudno mówić o Rosji jako o jednoznacznym czynniku polityki międzynarodowej. Od dwudziestu lat, t. j. od rewolucji bolszewickiej, która zniszczyła carat, Rosja ma dwa oblicza. W jej stolicy, Moskwie, istnieją obok siebie dwie władze: rząd państwa sowieckiego i zarząd III Międzynarodówki komunistycznej. Od kombinacji zadań, jakie stały przed tymi dwiema grupami, od tego, czy przeważała idea powszechnej światowej rewolucji ,której miała dokonać moskiewska Międzynarodówka, czy też interes państwa sowieckiego, zależała linia polityki zewnętrznej i wewnętrznej Rosji bolszewickiej".

Właściwa linia rozwojowa polityki zewnętrznej Rosji stalinowskiej wykrystalizowała się dopiero niedawno, różniąc się bardzo poważnie od pierwotnych koncepcji na tym odcinku z okresu Rosji leninowskiej, która żyła mitem szybkiego przeprowadzenia rewolucji światowej. Stalin poszedł na daleko idący kompromis ze światem kapitalistyczno - burżuazyjnym.

„Stalin dla zabezpieczenia swego państwa szedł na przymierza i sojusze z państwami kapitalistycznymi (Francją, Czechosłowacją), a w organizowaniu fermentów rewolucyjnych w państwach zagranicznych postępował ostrożniej, tworząc fronty nie komunistyczne, lecz „ludowe" i dbając o to, ażeby agitacja komunistyczna nie niszczyła podstaw siły w tych państwach, które mogłyby mu być pomocne w jego dyplomatycznych kombinacjach".

Ta kompromisowa polityka pociągnęła za sobą jawny bunt przeciwko Stalinowi ze strony całego szeregu rosyjskich ośrodków rewolucyjnych, które Stalin w konsekwencji był zmuszony likwidować pociągnięciami niesłychanie ostrymi. Owe akcje „oczyszczające" przyniosły jednak poważne osłabienie pozycji Rosji sowieckiej na zewnątrz.

Jak podkreśla w dalszych swych wywodach „Kurjer Poznański",

„zanosi się na to, że Rosja stalinowska będzie musiała wycofać się ze swej polityki europejskiej, rewolucyjnej czy nierewolucyjnej, i skupić swoją politykę na sprawach własnego bytu i bezpieczeństwa. Otwiera się pole działania dla tych państw europejskich i pozaeuropejskich, które w stosunku do Rosji mają plany zaborcze, rozbiorcze czy ekonomiczno-eksploatacyjne".

»Obrona Polski«

„POLSKA ZBROJNA" (Nr. 195), nawiązując do słów Marszałka Śmigłego-Rydza, że hasła obrony Polski nie należy pojmować jednostronnie, zwraca uwagę na niewłaściwe i błędne interpretowanie pojęcia obrony, rozumianego przez wielu ściśle według brzmienia tego słowa, co wyrządza duże szkody, wyrabiając negatywne ustosunkowanie się społeczeństwa do hasła obrony Polski jako idei rzekomo biernej.

„Polska Zbrojna" podkreśla, że istnieją dwa pojęcia obrony: 1) obrona bierna, 2) obrona czynna.

„Obrona bierna, polegająca na biernym wyczekiwaniu i dostosowywaniu się do działań przeciwnika, musi być wykreślona z wszelkich pojęć, rozważań i idei i nie może mieć miejsca w wychowaniu oraz w urabianiu stanowiska społeczeństwa, jako też kształtowaniu jego ducha".

Natomiast

„obrona czynna, polegająca na tym, że inicjatywa działania należy do broniącego się, będąca zatym działaniem zaczepnym, może być wyłącznie brana pod uwagę przy interpretacji, wpajaniu i szerzeniu hasła „Obrona Polski" przy czym tak pojęte hasło daje rękojmię wyrobienia w należytym stopniu ducha zaczepnego narodu"

Będące niewątpliwie na czasie wywody swoje na temat „obrony Polski" „Polska Zbrojna" kończy następująco:

„Działanie zaczepne, aktywność i twórczość, jako czynniki czysto materialne, w każdej pracy obronnej osiągną tylko wówczas powodzenie, gdy znajdą oparcie w wytrzymałości moralnej i odporności duchowej działających. Owe czynniki moralno - duchowe wyrabia najsilniej i najskuteczniej poczucie słuszności i działania, obiektywizmu i bezwzględnej sprawiedliwości, a tym właśnie jest hasło obrony Polski".

Człowiek ofensywy

W związku z pierwszą rocznicą śmierci gen. Orlicz-Dreszera „KURJER BAŁTYCKI" (Nr. 97) szkicuje taką oto sylwetkę tego wielkiego pioniera polskiej myśli morskiej:

„Kiedy dziś rozbudzony instynkt narodu szuka oparcia dla idei aktywności, ofensywy, czynu, których potrzeba Polsce, dla podświadomego nakazu i parcia naprzód, mimowoli myśl biegnie ku temu, który ideę tę reprezentował najmocniej, którego życie całe było wielką ofensywą czynu.

Generał Dreszer odszedł w chwili, gdy reprezentowany tak wybitnie duch parcia naprzód, aktyw i pęd do ofensywy powoli rozpoczęły wielki proces psychicznej przebudowy Polski.

Orlicz-Dreszer nie widział granicy od strony morza. Majaczyły przed nim zarysy dalekich dominiów kolonialnych. Grób jego wyrósł na szerokim szlaku, prowadzącym w świat.

Nie na straży granicy. Na szlaku wielkiej ofensywy polskiej."

Zmierzch Chadecji na Śląsku

Zapowiada go „WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY" (Nr. 194) pisząc o Chrześcijańskiej Demokracji na Śląsku co następuje:

„Niegdyś wielka, sprężysta, pociągająca masy polskie organizacja Wojciecha Korfantego wlecze dzisiaj suchotniczy żywot, mimo, że posiada dwa rozpowszechnione i stojące do jej dyspozycji organy prasowe: „Polonię" i bardzo poczytne „Siedem Groszy". Błędem by było przypisywać ten smutny dla sztabu Ch. D. stan rzeczy nieobecności w Polsce starego i doświadczonego działacza i przywódcy.

Należy stwierdzić, że obecny, coraz zresztą szczuplejszy sztab partyjny przestał oddziaływać atrakcyjnie na Ślązaków, coraz bardziej spragnionych jasnego, konkretnego i odpowiadającego ich pragnieniom programu politycznego. Pragną oni nie obstrakcyjnych i niezrozumiałych haseł z 19-go wieku, okraszonych wyciągiem z encyklik papieskich, ale jasnego i wyraźnego ujmowania zagadnień życiowych i polityczno-społecznych, na co nikt z Ch. D. dać zadowalającej odpowiedzi dać nie potrafi.

Naczelny organ endecji pociesza się przy tej sposobności, że sukcesorem po chadecji będzie Stronnictwo Narodowe:

„Cały ciężar walki o Polskę narodową spoczywa na Śląsku wyłącznie na Obozie Wszechpolskim, który wraz z narodową organizacją „Praca Polska" wszczepia ideały Wielkiej Polski w młode pokolenia śląskiego chłopa, robotnika i inteligenta."

W obliczu dekompozycji, jakiej ostatnio jesteśmy świadkami w łonie Stronnictwa Narodowego, tego rodzaju nadzieje należy oceniać tylko jako... romantyzm.

Komiwojażer pokoju

Jest nim sir George Landsbury, jeden z owej wielkiej piątki — „big five": Mac Donald, Henderson, Snowden, Thomas, Landsbury — która w r 1888 zakładała angielską Labour Party.

W chwili obecnej Landsbury objeżdża stolice wielkich państw i lansuje swe umiłowane dzieło: projekt światowej konferencji pokojowej.

W związku z ostatnią jego wizytą u Mussoliniego „KURJER WARSZAWSKI" (Nr. 194) przypomina, na czym projekt konferencji w zasadniczej swej konstrukcji polega:

„Landsbury jest przekonany, że konferencja szefów wielkich państw mogłaby w wielkiej mierze przy-

nieść upragnione odprężenie i uspokojenie, zaś w dalszej konsekwencji sprowadzić to, co nazywa stabilizacją pokoju. Anglik ujmuje ten problemat od strony psychologii i uważa, że najpierw należy usunąć psychozę wzajemnej nieufności osobistej ludzi, którzy mieliby decydować o pokoju i rozwiązać kompleksy, które wpływają na jej trwanie. Gdy dokoła stołu zasiądą ludzie należycie przygotowani psychologicznie, wówczas wiele nierozwiązalnych dotąd zagadnień okaże się rzeczami znacznie prostszymi, niżby się zdawało."

Z wizyty u Mussoliniego Landsbury jest niesłychanie zadowolony. O tym pełnym entuzjazmu pacyfiście angielskim „Kurjer Warszawski" pisze jeszcze co następuje:

„Niewątpliwie, dużo jest w tym siwym gentlemenie i jego projektach nieumotywowanego entuzjazmu i naiwności, zdajemy też sobie sprawę ze słabych punktów jego konstrukcyj myślowych. Wiemy, że najtrafniej i najłatwiej określić je brzydkim i niepopularnym dziś mianem: pacyfizm. Lecz patrząc w szlachetną, inteligentną twarz starego Anglika, doświadczając jego olbrzymiej erudycji i uświadamiając sobie jego przysłowiową w Anglii szczerość i nieskazitelną bezinteresowność, trudno oprzeć się wrażeniu, że świat zapewne tylko by zyskał, gdyby na jego losy wpływali tacy ludzie.

WŚRÓD KSIĄŻEK

S. M. Kuczyński: Czas i miejsce odgraniczenia się Ukraińców od Moskwiczów. (Odbitka z „Biuletynu Polsko - Ukraińskiego", nr 7, 8 z 1937 r.). Nakładem „Biul. Pol.-Ukr.", Warszawa 1937 r. Str. 34.

Broszura dr. Kuczyńskiego, napisana na marginesie obszernej rozprawy jego o ziemiach czernihowsko - siewierskich pod rządami Litwy, porusza nader ciekawe zagadnienie uformowania się odrębnej narodowości południowo-ruskiej (ukraińskiej), czy ściślej uświadomienia sobie przez mieszkańców Rusi Południowej swej odrębności narodowej w stosunku do zamieszkujących Moskiewszczyznę Wielkorusów.

Zagadnienie to, mające pierwszorzędne znaczenie nie tylko naukowe, ale i polityczne, było niedawno żywo dyskutowane w ukraińskich kołach naukowych. Punktem wyjścia dla dyskusji stał się niewielki artykuł historyka prof. Korduby, który, szukając „Najważniejszego momentu w dziejach Ukrainy", doszedł do wniosku, że „decydującym momentem dla utworzenia narodowości ukraińskiej (i białoruskiej) było zagarnięcie w XIV w. południowo - zachodnich ziem ruskich przez Litwę i przeniesienie żyjącej na nich ludności w nowe warunki polityczne, kościelne, kulturalne". Pogląd ten spotkał się z ostrą krytyką innych uczonych ukraińskich (historyków, archeologów, antropologów i filologów), zdaniem których powstanie odrębnego narodu ukraińskiego odnieść należy do okresu znacznie wcześniejszego, mianowicie do okresu rozkwitu państwa kijowskiego za pierwszych Rurykowiczów. Prof. Korduba bronił swego stanowiska, zarzucając antagonistom identyfikowanie języka z narodowością, gdy są to rzeczy zupełnie różne. Dyskusja niepozbawiona ostrzejszych akcentów polemicznych, nie doprowadziła do uzgodnienia poglądów, wydała jednakże obfity plon naukowy w postaci całego szeregu ciekawych rozpraw i artykułów.

Z dorobkiem tym zaznajamia nas w swojej broszurze dr Kuczyński. Widząc jednakże bezskuteczność wysiłków badaczy ukraińskich, nie naśladuje ich podejścia do zagadnienia, lecz próbuje zastosować metodę odmienną.

„Wyszukując chwile tworzenia się narodowości — pisze — należy, moim zdaniem, brać pod uwagę przede wszystkim **świadomość** swej odrębności narodowej u danego narodu od jego sąsiadów najbliższych, a potem dopiero sprawę przynależności państwowej i inne. Dopóki dane plemiona, acz różnych mające kniaziów i nawet różne nieco języki i wierzenia, nie czują się sobie obce — póty organizmy państwowe, w których skład wchodzą, nie są państwami odrębnych narodów. Dlatego też nie uważałbym narodów ukraińskiego i rosyjskiego w ich przeszłości historycznej za grupy narodowo różne dopóty, dopóki nie stwierdziłbym u przedstawicieli tych grup etnicznych **wyczucia** swej odrębności narodowej". „Istnienie świadomości narodowej ruskiej (ukraińskiej) już w wieku IX, czy też powstanie jej dopiero w wieku XIV czy XV bynajmniej nie przesądza sprawy poczucia odrębności narodowej pomiędzy Ukraińcami i mieszkańcami państwa Moskiewskiego", chodzi bowiem „nie o to, kiedy Rusini poczuli się odrębnym światem wobec wszelkich nie Rusinów, lecz o to, kiedy uświadomili sobie swą odrębność od Moskwiczów". Nie należy też szukać „spornych **początkowych** lat tego uświadomienia swej odrębności narodowej przez Rusinów", lecz przeciwnie — końcowych.

Takie właśnie lata końcowe udało się autorowi, jak sądzi, wyznaczyć, aczkolwiek nie prowadził specjalnych badań w tym kierunku. „Opracowując — pisze we wstępie — dzieje ziem czernihowsko - siewierskich pod rządami Litwy, t. zn. od połowy XIV wieku do początków XVI, napotkałem podczas mych studiów na ślady pewnego procesu psychologicznego, twórczo-narodowościowego odgraniczania się Rusinów — Ukraińców od Moskwiczów. Procesu tego nie szukałem, wyłonił się sam i zmusił mnie niejako do zajęcia stanowiska..."

Niestety w dalszym ciągu swoich wywodów autor mniej zajmuje się samym procesem a więcej jego podłożem etniczno-kulturalnym (zachodnie, lechickie pochodzenie Więtyczan i Siewierszan oraz żywe związki kulturalne Rusi Południowej z Polską i Zachodem). Jednakże już to, co o nim pisze, wystarcza do stwierdzenia, że nie mamy tu do czynienia z procesem „twórczo - narodowościowym", jak chce autor, lecz ze zjawiskiem lojalizmu dynastyczno-państwowego o charakterze feodalnym.

Książęta wierchowcy bronią się przed najazdem moskiewskim, bronią się, mimo że obrona nie ma widoków powodzenia, i mimo, że Wielki książę, wbrew wielokrotnym umowom, nie reaguje na ich wołania o pomoc, obojętnie przyglądając się podbojowi ich dzielnic przez Moskwę. Bronią się, mimo że na poddaniu się carowi niczby osobiście nie stracili, wprost przeciwnie nawet mogliby coś zarobić, gdy upieranie się przy bezsilnej Litwie grozi jak najgorszymi konsekwencjami. Bronią się wreszcie nie sami, ale przy czynnym współudziale całego społeczeństwa swych dzielnic i nawet już po wymuszonym poddaniu się Moskwie marzą o powrocie do dawnych stosunków i piszą listy do Wielkiego Księcia, usprawiedliwiając swoje postępowanie.

Jak wytłumaczyć te fakty? Autor widzi w nich (zwłaszcza w liście ks. Semena Worotyńskiego do króla Aleksandra Jagiellończyka) „świadectwo wyczucia przez mieszkańców Poocza swej odrębności kulturalnej i narodowościowej od Moskwiczów". Z poglądem tym trudno jednak się zgodzić, bo nie znajduje potwierdzenia w tych nawet wiadomościach źródłowych, na które autor się powołuje i które przytacza. Wszystkie te wiadomości bowiem stwierdzają istotnie podziwu godną wytrwałość mieszkańców księstw wierchowskich w ich orientacji pro-litewskiej, ale nie świadczą bynajmniej o jakimkolwiek wyczuwaniu przez nich swej odrębności narodowej w stosunku do Moskwy. Sam autor zresztą daje inne wytłumaczenie niechęci książąt wierchowskich (i ich poddanych) do Moskwy, mówiąc, że byli „uczuciowo związani z Litwą", że bili się *za Litwę*... przez tradycję czy niechęć do Moskwy", że „czuli się głęboko związani przysięgą". Przytacza też liczne dowody wierności feodalno-dynastycznej i państwowej władców oraz ludności wierchowskiej wobec Litwy, ale żadnego dowodu świadczącego o ich poczuciu odrębności narodowej w stosunku do „Moswiczów". Podobnie jest i z owym listem ks. Semena Worotyńskiego, który ma być głównym dowodem wyczuwania tej odrębności, ale w którym tak dalece niełatwo się tego dopatrzeć, że sam autor uważał za potrzebne zaznaczyć, że list „pisany był z myślą, iż czytać go będą i osoby Moskwie przychylne".

O ile więc podejście metodyczne autora do zagadnienia uznać należy za bardzo trafne i rokujące lepsze wyniki dla badań, aniżeli próby uczonych ukraińskich, — o tyle praktyczne przeprowadzenie jego tezy budzi zasadnicze wątpliwości.

Mimo tych zastrzeżeń broszura dr. Kuszyńskiego jest niewątpliwie cennym wkładem do naszej literatury historycznej i to nietylko dlatego, że zawiera pierwszą w języku polskim wyczerpującą relację o dyskusji nad początkami narodu ukraińskiego, lecz również ze względu na cenne omówienie ciekawego zagadnienia udziału lechickiego elementu plemiennego (Radzimicze, Więtycze i prawdopodobnie także Siewierzanie) w formacji etnicznej Rusi Południowej, na które badania autora rzucają nowe zupełnie światło.

K. Symonolewicz, jr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem